Rok IX. Za czerwiec i lipiec 1920. Zeszyt 6. i 7.

MIESIĘCZNIK KATECHETYCZNY i WYCHOWAWCZY

Treść.

Adres redakcji i administracji:

Lwów, ul. Sykstuska l. 64.

LWÓW — 1920.

DRUKARNIA UDZIAŁOWA, LWÓW, KOPERNIKA 26.

Z naszej dziedziny.

VII. O „wychowawstwo".

„Dziennik Urzędowy" Rady Szkolnej Krajowej we Lwowie, Nr. 4., wydany dnia 1. kwietnia 1920, przyniósł rozporządzenie tejże najwyższej małopolskiej Magistratury szkolnej, w sprawie wychowawstwa, które w całej pełni zasługuje na bliższe omówienie z naszego punktu widzenia, bo z punktu widzenia szkoły zapewne mniej lub więcej wyczerpująco omówiono je na konferencjach nauczycielskich w poszczególnych zakładach średnich.

Rozporządzenie wspomniane jest właściwie urzędowym komentarzem Delegata Ministerstwa W. R. i O. P. do wydanego jeszcze 28. maja 1919 r. rozporządzenia misterjalnego, które w Małopolsce dotąd nie weszło w życie z kilku poufnie między nauczycielstwem znanych powodów.

Przypatrzmy się zatem cokolwiek bliżej temu tak bardzo nas obchodzącemu komentarzowi.

Zaznacza w nim p. Delegat, że „tendencją rozporządzenia Ministra jest rozszerzenie i pogłębienie akcji wychowawczej, którą obok pracy nauczania i w związku z nią podjąć powinna szkoła". Znamienny to i zdawna oczekiwany zwrot od wpajanego przez austrjacki system szkolny intellektualizmu, do wychowania moralnego, do wpływania etycznego na młodzież, zwrot, któremu my katecheci z serca oczywiście życzyć tylko możemy powodzenia.

Podkreślając obowiązek wychowawczy całego grona nauczycielskiego i obowiązek popierania właściwego wychowawcy, tj. gospodarza klasy, przechodzi autor do omómówienia technicznej strony całej akcji.

Kieruje nią dyrektor zakładu. On wyznacza i nadzoruje gospodarzy klas, spostrzeżeniami swemi dzieląc się z gronem na konferencjach klasowych i plenarnych, a przy końcu roku ujmując je w ścisłe roczne, Radzie szkolnej przesyłane sprawozdanie.

Bardzo słusznie domaga się rozporządzenie ciągłości i konsekwencji oddziaływania jednego i tego samego gospodarza przez cały okres studjów średnich jednej i tej samej klasy. Rzecz dość trudna do osiągnięcia wobec częstych zmian w gronie nauczycielskiem.

Słusznie dalej zostawia poszczególnym wychowawcom znaczną swobodę działania, zalecając unikanie mechanizowania i szablonu, nie krępując osobistej inicjatywy.

Bardzo pięknie określa cel podjętej akcji: „Najdalszym i ostatecznym celem akcji wychowawczej jest wykształcenie ludzi etycznie ustalonych i zrównoważonych, z pełną świadomością obowiązków wobec Boga, wobec siebie i narodu, którego mają być obywatelami. Będzie przeto zadaniem wychowawcy przy wyzyskaniu indywidualnego podłoża charakteru rozwijać i uświadamiać te wartości etyczne, które zdołają zapewnić wychowankowi treść psychiczną, odpowiadającą temu ideałowi, jako to: szczere przekonanie religijne, przywiązanie do rodzinnego kraju i do narodowej tradycji, rozumną miłość ojczyzny, zdolną do ofiar i poświęcenia przy wyrozumiałym szacunku dla obcych narodowości i wyznań, prawdomowność, szczerość, zamiłowanie w pracy, poszanowanie cudzej własności, szacunek dla obcej pracy i obcego zdania, skromność i poprawność w stosunkach towarzyskich, ofiarność w usługach na korzyść powszechną."

Z prawdziwą i szczerą radością musiał czytać te słowa każdy katecheta. Wszakżeż tak pojęty wychowawca gimnazjalny będzie mu serdecznym druhem w pracy, którą dotąd sam nieraz zupełnie w szkole swej spełniał. Bo całą tę skreśloną wyżej pedagogikę — śmiało można nazwać Chrystusową.

Gdy zaś czytamy dalej ów okólnik i widzimv, jakie dalsze jeszcze obowiązki wkłada on na nowo stwarzaną instytucję wychowawców, jak każe im starać się o możliwie ścisły kontakt z młodzieżą w szkole i poza szkołą, przy nauce i przy zabawie, w higjenie i estetyce, jak wreszcie zleca im nadal ściśle i punktualne spełnianie obowiązków kancelaryjno-administracyjnych, nawiązanie stosunków między domem a szkołą przez o d w i e d z i n y i indywidualne konferencje, rozumiemy doskonale, że za taką pracę zupełnie słusznie należeć się będzie „wychowawcom" osobne a wysokie wynagrodzenie, ale z drugiej strony równie dobrze czujemy, że nie będzie rzeczą łatwą odrazu znaleść odpowiednią ilość ludzi, którzyby podjęli i spełniali w zupełności tak wielkie i tak trudne zadanie.

Faktem jest niezaprzeczonym, że nasz dotychczasowy system szkolny był tylko w znikomej części wychowawczym, mało też stosunkowo wydawał ludzi wyrobionych wewnętrznie, a studja uniwersyteckie braków jego nie

uzupełniały, bo pozostawiając młodzież akademicką samej sobie i nie dając najczęściej, po za wskazówkami naukowemi, żadnego kierownictwa moralnego, wprost nie potrafiły tego uczynić. To będzie pierwsza trudność, na jaką napotka w praktyce wypełnienie rozporządzenia. Bezwątpienia, jak zresztą kończy p. Delegat, spotka się ono ze „stwierdzoną dotychczas ofiarną gorliwością nauczycielstwa"; warto jednak zwrócić baczną uwagę na ten właśnie moment konieczności podjęcia intenzywnego tej pracy również ze względu na to, że przez nią i tylko przez nią przygotuje się nowe pokolenie już inaczej wychowanych i lepiej od nas już przez szkołę zaprawionych do tego zadania pracowników.

I z tego punktu widzenia rozporządzenie, nie do nas katechetów bezpośrednio skierowane, powinno przecież i naszą energję i troskę wychowawczą podniecić.

Czy nie dałoby się i u nas — choć w mniejszym stopniu — przeprowadzić pewnej analogji, jeśli nie w poglądach, to w dość częstej jeszcze praktyce, która rozdzielając nauczanie religji od duszpasterstwa szkolnego, odpowiadałaby porównaniu systemu intellektualnego z wychowującym?

Uznając z pewnością szlachetne usiłowania i działalność „wychowawców", musimy tem czujniejszą uwagę zwrócić na stronę duszpasterską naszej pracy szkolnej, aby naprawdę idąc ręka w rękę z gospodarzem klasy, zachować przecież ten wyższy, nadnaturalny wpływ na wyrobienie dzielnych, chrześcijańskich charakterów młodzieży, wpływ, który wszakżeż nie będzie żadną uzurpacją, lecz prostym wynikiem naszego w szkole stanowiska.

I naogół będzie to dla nas bardzo prostem i łatwem. To, co dziś zaleca rozporządzenie władzy szkolnej, to od wieków zalecał kapłanom swoim Kościół święty. Te odwieczne — a jak widzimy, zawsze nowe poglądy krążyły niby krew, niby soki żywotne w organizmie Kościoła od czasów pierwszych katechumenów i Ojców Kościoła. Mając za sobą tak wspaniałą tradycję, takie wzory i takie środki Boże, nadprzyrodzone, w jakże wysokim stopniu możemy przyczynić się do urzeczywistnienia ideałów chrześcijańskiego wychowania, zwłaszcza teraz, gdy i ze strony świeckich wychowawców będziemy mieli tyle szczerego współdziałania.

Dzisiejsze warunki wychowawcze pogarszają się niemal z dnia na dzień. Zbieramy plony wojny. Tem pożą-

dańsza będzie więc pomoc. Ale warto może zwrócić uwagę na pewne strony naszego wychowania, na pewne błędy, których dziś zwłaszcza w nowo podjętej i na tak wielką skalę zakrojonej akcji, należałoby bardziej, niż kiedykolwiek, unikać.

Jeden z zagranicznych wychowawców, który przez dłuższy czas, a dokładnie badał nasz system wychowawczy, miał się wyrazić, że Polacy są narodem, który niezwykle miękko wychowuje swą młodzież, owszem dodał nawet, że ze znanych mu narodów najbardziej miękko. I wielką wyrzekł prawdę. W większości rodzin naszych dzieciom pozwala się niemal na wszystko. Matki je pieszczą, ojcowie pobłażają, bliższa i dalsza rodzina psuje na swój sposób. Taki materjał potem dostaje szkoła, w której wychowawcy są ostatecznie cząstką tego samego społeczeństwa i cząstką, rzecz jasna, nie wolną od ogólno-narodowych wad pedagogicznych.

Wady te zaś mszczą się potem istotnie na całych pokoleniach. Zalewa nas wielka wrażliwość, impulsywność, niezdrowa ambicja, sentymentalizm, powierzchowność, płytkość i zmienność — wszystko te owoce miękkiego wychowania; brak nam natomiast hartu, panowania nad sobą, trzeźwości życiowej, żelaznej energji, konsekwencji i stałości niezwruszonej przekonań. Kto bliżej styka się z młodzieżą, ma sposobność nieraz stwierdzić, jak głęboko zakorzenia się w jej duszach wpływ miękkiego wychowania.

Niech w klasie znajdzie się uczeń, którego w domu trochę surowiej trzymają i chowają, a koledzy rozprawiają o tem ogólnie, jako o rzeczy nie zwykłej, nie spotykanej i „męczennikowi“ nie skąpią słów współczucia, nie skąpią blagierskich przechwałek, jak im to wszystko wolno w domu. Niech w gronie profesorskiem znajdzie się nauczyciel, czy katecheta trochę surowszy, już lament idzie przez gimnazjum całe i narzekanie na niebywale ostrego wychowawcę.

Istne błędne koło, z którego czas nam najwyższy już raz się wydostać, jeśli przyszłe pokolenia mają być dzielne, hartowne i czynne.

Drugim, może jeszcze gorszym błędem naszych metod swoistego wychowania w domu i w szkole jest brak konsekwencji.

Zdaje mi się, że i tę wadę możnaby określić jako specyficznie polską. Bo przecież chyba nie da się zaprzeczyć, że popełniamy ogólnie mnóstwo niekonsekwencji

w życiu politycznem i społecznem, rodzinnem i towarzyskiem. Mści się to w bardzo bolesny sposób i na wychowaniu młodzieży.

Wrażliwość jej i nieraz przedziwna intuicja jest faktem stwierdzonym. Wszak wprawiają one nas niejednokrotnie w zakłopotanie. Ileż usilnie ukrywanych tajemnic ci malcy potrafią odkryć, odgadnąć, domyślić się i potem z nich w całej pełni korzystać. Jeśli na takiem tle psychicznem rozważymy opłakane skutki niejednolitego postępowania wychowawcy, łatwo uświadomimy sobie ogrom jego błądzenia.

Zasadniczą wadą pedagogiczną będzie tu kierowanie się, aż nazbyt częste niestety, niczem nie krępowanem uczuciem. Zaczyna się to bardzo wcześnie.

Oto synek się zaziębił, kaszle, trzeba go położyć do łóżka — w jednej chwili, choćby to był najbardziej uprzykrzony chłopiec, staje się przedmiotem tysiącznych czułości, pieszczot przebierających wszelką miarę. Słabość się przeciąga, chłopiec się rozgrymasza, czuje się udzielnym panem w domu — wszyscy około niego biegają, kręcą się, wszyscy na jego usługi. Zdrowie wraca, ale nasz chory ani myśli porzucać wygodnej roli. Naturalnie przebiera miarę swych kaprysów i nagle spotyka się z wybuchem gwałtownym rodzicielskiej reakcji, znów nieproporcjonalnej w żadnym stosunku do poprzednich pieszczot. Charakter jego musi się spaczyć i skrzywić. Jeśli rodzice dalej niekonsekwentnie, lecz odruchowo chować go będą, wyrośnie im nad głowy już w 13, 14 roku życia i bardzo rychło zwłaszcza skołatana ciągłemi utarczkami z synem matka, usłyszy przerażona groźbę ucieczki z domu, zaciągnięcia się do wojska lub „strzelenia sobie w łeb“, groźbę, którą strwożona, dalej będzie pozwalać na wszystko.

A jak znakomicie dzieci i młodzież odczuwają dobry lub zły humor rodziców i nauczycieli i jak przebiegle umieją z tego korzystać. Wiedzą o tem, choć może nie uświadamiają sobie całej grozy faktu, rodzice, wiedzą nauczyciele.

Oto profesor przychodzi na pierwszą godzinę — o 8-mej — do gimnazjum. Przypuśćmy, że trochę późno go zbudzono, że śniadanie nie było na czas i dość smaczne, że miał jakieś małe zajście domowe. Uczniowie, którzy mają go na pierwszą godzinę, już z wejścia do klasy, zamknięcia drzwi, zdjęcia okrycia i odsunięcia krzesła, poznają sytuację i przez klasę idzie szept przytłumiony „o — dziś —

zły!“ Więc uwaga pytanych jest większa, spodziewający się pytania chronią się za barki poprzedników w ławkach, inni gorączkowo wertują książkę, cała klasa jest mocno zdenerwowana, podniecona niezdrowo, przychodzi moment, w którym wszystkie charaktery pod wpływem złego humoru profesora lub katechety przeżywają nieświadomie znaczne odchylenie się na lewo.

Zaledwo uderzy dzwonek, idą wici wojenne do klas, które mają nieszczęście mieć dziś „jego“ godzinę — i znów powtarza się to samo.

Inaczej zaś dzieje się, gdy „on“ jest dziś „dobry“! Wówczas na wiele rzeczy można sobie bezkarnie pozwolić.

I naprawdę, że to zdumiewające, jak nieraz malcy z II. III. klasy wiedzą i odgadują, czy przy końcu miesiąca panu profesorowi kończy się pensja — więc zły, — czy przegrał coś w karty, czy był w kancelaryi dyrektora itd. itd. i jak obliczają możliwe skutki tych faktów w jego humorze i prowadzeniu lekcyj. Istotnie otaczają nas nieustannie setki bystrych, świdrujących młodych oczu, które dostrzegą wszystko!

Są to rzeczy napozór drobiazgowe, ale jednak sięgające niesłychanie głęboko w duszę dziecka, w tworzenie się jego charakteru i zasad życiowych. A my niestety, stosunkowo rzadko przeprowadzając auto-analizę, zwłaszcza przed wejściem w próg szkoły, mimowolnie — brakiem konsekwencji i jednolitości szczepimy obłudę, oszustwo, przebiegłość i cały szereg spokrewnionych z niemi, opłakanych wad charakteru.

Na jedno jeszcze pozwolę sobie zwrócić uwagę. Na bardzo nieumiejętne obchodzenie się — powiem nawet — igranie — z tak delikatną substancją, jaką jest ambicja u młodzieży. I tu nie zdajemy sobie niekiedy sprawy, jakie często powodujemy wprost pustoszenia „pedagogiczne“, już to zabijając nieraz zupełnie, już też podniecając bardzo niezdrowo tę ambicję. Oddziaływanie na nią jest środkiem obosiecznym i zda mi się wymagać specjalnej umiejętności i taktu. W przeciwnym razie raczej jej nie dotykać.

Uważam za niesłychanie szkodliwe ciągłe pobudzanie ambicji, która może się przez to nietylko przerodzić w skrajną próżność, zarozumiałość i pychę, ale zepsuć nieraz najpiękniej zapowiadający się charakter już na zawsze. Tutaj trzeba być ogromnie ostrożnym i w mikroskopijnych, a rzadkich i w odpowiedniej chwili stosowanych dawkach, używać momentów podniecających.

Równie wielką — a może i większą ostrożność — zaleciłbym w postępowaniu tam, gdzie ono mogłoby tę zdrową, szlachetną ambicję zabić. I tutaj zabiłoby ono zwykle cały charakter.

Niestety pod tym ostatnim względem w naszej praktyce pedagogicznej dzieją się rzeczy opłakane. Dzieją się zwykle już pod dachem rodzicielskim we wczesnem dzieciństwie, gdzie tak łatwo, na tak kruchej podstawie posądza się chłopca o przeróżne wykroczenia, nie wierzy się jego zapewnieniom. Znałem, dawno już temu, w jednej z urzędniczych rodzin chłopca, którego ojciec raz wysłał po papierosy do sklepu, wręczając pewną drobną kwotę pieniężną. Chłopiec wrócił, sprawunek oddał — ale reszta pieniędzy było o jakieś 10 hal., mniejsza, od kwoty, jaką sobie wyrachował ojciec. Kupiec się omylił, wydał za mało. Ojciec zaś oburzony i rozgniewany wmawiał w dziecko nieuczciwość, kłamstwo, zakupienie cukierków, zachęcał do przyznania się i to tak gwałtownie i boleśnie, że malec zanosił się od płaczu i przez kilka tygodni nie mógł się uspokoić, czując straszną krzywdę tego posądzenia.

Jeśli zaś wielu dzieciom, na szczęście, tego rodzaju zajścia bywają oszczędzone w domu, spotykają się z niemi w szkole, gdzie się przecież niemal z reguły młodzieży nie wierzy!

Kiedy rozpoczynałem pracę katechetyczną i wychowawczą w swoim zakładzie, byłem wprost zdumiony i zbolały tem głęboko zakorzenionem w młodzieży przeświadczeniem, że jej się „a priori“ nie wierzy. I to jest chyba wszędzie.

Pytam o nieobecność na nabożeństwie. „Ja byłem! Niech ksiądz katecheta zapyta kolegę A, B, C, profesora X. V. itd.“ Pytam o powód nie przygotowania lekcji, to samo z odwoływaniem się na szeregi świadków choroby, czy zgubienia książki.

Jakie to bolesne i jakie to okropne, że młodzież nasza pod tym względem jest właściwie do głębi zdemoralizowana — i to najczęściej przez samą szkołę. Szkoła w najdelikatniejszej funkcji wychowania najczęściej bezlitośnie depcze ogólno-moralną zasadę: „Nemo praesumitur malus, donec probetur“. I skutki bywają fatalne. Zdarzył mi się raz wypadek tak przykry, że go nigdy chyba nie zapomnę.

Po odprawionej Mszy św. szkolnej wróciłem w którąś niedzielę do zakrystji i zacząłem zdejmować szaty li-

turgiczne, gdy wsunął się nieśmiało młody chłopak. Mógł mieć 15—16 lat. Pocałował mnie w rękę i w urywanych słowach, cały czerwony prosić począł o poświadczenie dla X. katechety, że on był na Mszy św. „Ależ mój drogi, jakżeż ja to mogę poświadczać, gdy cię tu widzę p o M s z y ś w." „Ale ja zaręczam X. Dobrodziejowi, że byłem na całej. „No więc zaręczysz i swojemu X. katechecie". Chłopiec poczerwieniał jeszcze bardziej i wyszeptał: „On nie uwierzy i będę miał wielkie nieprzyjemności. Zakazał mi pokazywać się bez kartki." Z kolei ja się zaczerwieniłem za owego X. katechetę i na kartce napisałem świadectwo. A chłopiec ów był — o ironjo — uczniem seminarjum nauczycielskiego jednego z prowincjonalnych miast naszych. Przyszły wychowawca i pedagog znakomitą metodę poznawał na sobie samym — będzie ją pewno stosował kiedyś znów na swoich uczniach. A nie są mi też tajne wypadki otwierania listów, ba nawet szuflad od stolików na stancjach przez pedagogów.

Takie metody są bezwzględnie godne potępienia. Owoc mogą przynieść na krótką metę, na dalszą zawsze demoralizują i dlatego godne są w wychowawstwie surowego potępienia.

Zapowiadając młodzieży n. p. na początku roku zupełną wiarę i zaufanie, dopóki go sama nie zawiedzie i posuwając tę wiarę i zaufanie do ostatecznych granic, choćby z pobłażaniem w drobiazgach, możemy dojść do nadzwyczajnych rezultatów. Rzecz prosta, że prędzej, czy później zdarzy się zawód, ale ten znów wyzyskujemy znakomicie, oddziaływając na ambicję, wolę i uczucie młodzieży — i przekonywamy się tu o prawdzie przysłowia: niema złego, coby na dobre nie wyszło! Metoda nasza, metoda zaufania i szczerości wprost przebojem zdobywa umysły i serca chłopców naszych! Kłamstwo znika — a prawdomówność dochodzi czasem do momentów wprost rozbrajających.

I można dożyć faktów istotnie pocieszającego przyznania się całkiem dobrowolnego nawet do takich win, któreby pozostały ukryte przed karnym kodeksem szkoły!

Czyż mogą być zatem dwa zdania o tem, co lepsze? O tem, co głębsze, a co powierzchowne tylko i chwilowe?

Uważam, że ideałem wychowania byłoby tutaj zniesienie wszelkiej kontroli. Rozumiem, że ona jest konieczną, niezbędną, mówię też tylko o ideale, ale mieć ten ideał przed oczyma jest obowiązkiem nieustannym wychowaw-

ców. Stworzenie charakteru, wychowanie chłopca, któryby się sam kontrolował, jest celem jednym z najgłówniejszych w wychowaniu i celem nie niemożliwym. Bo jeśli n. p. tak zwane „pytanie" czy „odpytywanie" lekcji, zwłaszcza w wyższych klasach, uważamy za kontrolę współpracy ucznia z nauczycielem, to przyznamy chętnie, że w każdej niemal klasie mamy kilku uczniów, których wogóle nie pytamy, lub czynimy to dla czystej formy (może dla własnej satysfakcji, usłyszenia klasycznej odpowiedzi), nie dla kontroli, bo oni jej nie potrzebują i ich współpracy zawsze pewni jesteśmy. Rozszerzmy ten objaw, przenieśmy i na pole wychowawcze, duszpasterskie, a rzecz na pierwszy rzut oka niewykonalna, stanie się całkiem prostą i możliwą...

Oto garść uwag, wywołanych szlachetnem dążeniem pedagogicznem naszej Rady szkolnej, uwag, które może tu i ówdzie przydadzą się jako motyw wychowawczej refleksji

Tłem jej — jako i tłem, na którem te uwagi się zrodziły — niech będzie słowo Chrystusowe u brzegów Genezaretu wyrzeczone przed wiekami do Piotra: *Duc in altum!* (Luc 5, 4). *Zajedź na głębię a zapuśćie sieci wasze na połów!* Wychowawstwo nasze — zda mi się — ciągle jeszcze brodzi po mieliznach, po płytkich miejscach. Boski Nauczyciel — w c z o r a i d z i ś, ten i na wieki (Żyd, 13, 8), jako niegdyś do Piotra, do nas dziś i s z c z e g ó l n i e j d z i ś woła: *Duc in altum!* Głębiej zapuszczać sieć, głębiej skibę brać i głębiej siać Boże pszeniczne ziarna... Sięgać powoli, ale niezmordowanie do głębin dusz, do podstaw charakterów młodzieńczych, do samego dna serc, — oto nasze i Chrystusowe, Boże, odwieczne wychowawstwo.

Zakopane. *X. Józef Winkowski.*

Kościół jako mistyczne ciało Chrystusa w świetle nauki św. Augustyna.

Św. Paweł pierwszy nazywa Kościół ciałem Chrystusa; za nim określenie to powtarzają pisarze kościelni: św. Ireneusz, Klemens Aleksandryjski, Origenes i Tertulljan. Augustyn w tem jest podobny do swych poprzedników, że nawiązuje do tradycji, a różni się od nich w tym wypadku —

jak zresztą w wielu innych — tem, że przekazaną naukę rozszerza i wyjaśnia, szukając nowych dróg i dowodów.

Określa on tedy Kościół jako mistyczne ciało Chrystusa. Dzięki ekonomji zbawienia, Chrystus stał się głową ludzi, odkupionych Jego krwią i złączonych w Kościół, przez Niego założony, który jest Jego ciałem. Ciała tego głową jest Chrystus *secundum formam servi* [1]; duszą ożywiającą Duch Św., a członkami wierni [2]. Głowa i ciało stanowią całość — totum [3]; całego Chrystusa: *caput et corpus unus est Christus* [4]; niejako jedną osobę: *Fit ergo tamquam ex duobus una persona: ex capite et corpore* [5]... *Ego sum, unus sum, mecum omnes in unitate unum sunt* [6].

W ten sposób wzrasta Kościół w doskonały organizm, w męża doskonałego, w miarę wieku zupełności Chrystusowej [7].

Kościół dlatego nazywa się ciałem, bo jest zorganizowaną społecznością, a jak uczy św. Paweł [8], między zorganizowaną społecznością, a ciałem ludzkiem zachodzi wielkie podobieństwo — wszak wyraz: zorganizowany pochodzi od organizmu. W każdym razie jest to tylko podobieństwo, które należy brać z pewnemi zastrzeżeniami. Wyrażenie obrazowe, oparte zresztą na Piśmie św. [8], dopóty ma swe uprawnienie, dopóki zatrzymuje się jego symboliczne znaczenie i nie utożsamia się rzeczy ze znakiem, jakim się posługujemy na jej wyrażenie. Idea organizmu zasadza się na harmonji członków, t. zn. na jedności w wielości i różnorodności, czyli innemi słowy — gdy każdy członek spełnia swe zadanie w myśl

---

[1] De Trinit. l, l. c. 40; l. 15, c. 26, § 46; En. in ps. 85, § 4; De perfectione iustitiae hominis c. 15, § 35.

[2] D. c. D. X. 6; XIII. 23; XVII. 4, 9, 18; Ep. 140 c. 6 § 15, 18; c. 14, § 36; Ep. 142, § 1 unum corpus magnum unius capitis magni; En. in ps. 138, § 2; in ps. 88, § 14; in. ps. 90 sermo 2, § 1: In Jo. tract. 26, § 15; D. v. r. c. 17, § 33; De ag. chr. c. 26, § 28; Quaest. cr. l. 2, qu. 40; Sermo 45, § 5; De doctr. chr. l. 1, c. 16.

[3] D. c. D. XVII. 4.

[4] D. c. D. XVII. En. in ps. 123, §. 1; Sermo 137, c. 1, 61, De un. Eccl. c. 2, § 2.

[5] En. 2, in ps. 30, Sermo 1, § 4.

[6] Sermo 138, c. 5, § 5. Pf. Ephes. V. 23; Coloss. I. 18.

[7] Ephes. IV. 13; En. in. ps. 138 § 2... Ipse est rector et sponsus et redemptor Ecclesiae, caput nostrum. Et utique si caput est, habet corpus... cf. I. Cor. XII. 27... Totus itaque Christus caput et corpus, tamquam integer vir... In Io. tract. 21, § 8; En. in ps. 103, s. 1, § 2.

[8] Rom. XII. 4, 5; Cor. XII. 12 nast.

[8] Ephes. I. 23... „Jego dał głowę nad wszystkim Kościołem, który jest ciałem jego..."

jednego ogólnego planu [1]). Pierwowzorem stworzonym wszelkiej harmonji, a więc i każdego organizmu (mikrokosmos), jest wszechświat (makrokosmos).

Jeżeli wyrazy „organizm - organiczny“ przenosimy na pojęcie o całkiem innem znaczeniu, jedynie z powodu pewnego, mniej lub więcej uzasadnionego podobieństwa, to musimy pamiętać, że jest to tylko podobieństwo, które może łatwo w błąd wprowadzić; są to owe *similitudines, quae plerumque fallunt* [2]).

Organizm pojmujemy przedewszystkiem w znaczeniu materjalnem, odnośnie do ciała ludzkiego [3]), a następnie dopiero stosujemy ten wyraz do dziedziny ducha i życia duchowego, czy moralnego, stąd np. organizmem nazywamy grono przyjacielskie, małżeństwo, rodzinę, naród, państwo [4]) — wreszcie do dziedziny nadnaturalnej, do Kościoła, gdy go nazywamy: *socialis vita sanctorum* [5]). Harmonja w dziedzinie moralnej i nadnaturalnej polega na jedności, czyli zgodności woli wszystkich członków — unio voluntatum et concordia — której owocem jest błogi pokój — pax. Ten pokój, jako posiadanie i używanie Boga przez oglądanie Go, jest celem dążących do wiekuistej szczęśliwości [6]). Stąd wypływa pojęcie Kościoła, jako osoby moralnej. Z tą to osobą, jako ze swem ciałem, połączył się Chrystus w sposób cudowny, mistyczny [7]).

Pierwiastkiem, utrzymującym harmonię w Kościele, czyli łącznikiem między głową, a ciałem i między członkami nawzajem jest Duch św. ze swymi darami [8]). Dlatego ci, którzy do jedności Kościoła nie należą, a więc heretycy i schizmatycy, Ducha św. nie mają — *Proinde corporalia sacramenta, quae portant et celebrant etiam segregati ab unitate cor-*

---

[1]) D. c. D. X. 6, 14, 32; XI. 18, 22, 28. En. in ps. 10 § 7; Sermo 96, c. 7, § 9... cuncta membra per officia propria distincta et distributa, sequantur Christum. C. ep. Parm. l. 2, c. 8, § 6; Ep. 187, c. 6, § 20.

[2]) De quantitate animae c. 32.

[3]) D. c. D. VII. 2.

[4]) D. c. D. XIV. 23, 26.

[5]) D. c. D. XIX. 5.

[6]) D. c. D. XIX. 13, 16, 17, 24; X. 4; XII. 21, 26; XIV. 1, 26; XV. 3, 16; XVII. 11; XVIII. 41; De ag. chr. c. 30; C. Faust. M. l. 21, c. 14; C. adv. leg. et proph. l. 1, c. 6; C. Ep. Man. fund. c. 33; De bono c. 18; De s. v. c. 29; D. v. r. c. 11; Confess. l. 4, c. 15; l. 10, c. 36; l. 12, c. 11; Ep. 138, § 10, § 17; Ep. 155, § 9; Ep. 93, c. 5, § 18; Ep. 238, § 16; De bapt. l. 3, c. 18, § 23; Soliloquia c. 12; En. in ps. 62, § 2; ps. 85, § 1; ps. 86, 5; ps. 39, § 5.

[7]) Ep. 140, c. 6, § 18. Haec ex persona sui corporis, Christus dicit, quod est Ecclesia.

[8]) Ep. 187, c. 6, § 20; In Jo. tract. 13, § 12; C. Faust. U. l. 19 c. 12.

poris Christi, formam possunt exhibere pietatis; virtus vero pietatis invisibilis et spiritualis ita in eis non potest esse, quemadmodum sensus non sequitur hominis membrum, quando amputatur a corpore [1]).

Chrystus jest głową Kościoła na mocy ludzkiej natury, którą przyjął i w osobie boskiej złączył z naturą boską. Chrystus przyjął postać sługi, cierpiał za nas i umarł na krzyżu — *Verbum caro factum est, ut fieret caput Ecclesiae. Verbum enim ipsum non est pars Ecclesiae; sed, ut esset caput Ecclesiae, carnem assumpsit* [2]). Członkami mistycznemi ciała Chrystusowego stajemy się przez duchowe odrodzenie z wody i Ducha św. t. zn. przez wiarę w Chrystusa i Jego sakramenta, a w pierwszym rzędzie przez Chrzest [3]). Ciało to wzrasta na wzór ciała ludzkiego powoli: nauka Chrystusowa rozchodzi się po świecie, zatacza coraz szersze kręgi, coraz więcej narodów ją przyjmuje, coraz więcej przybywa członków — a wzrost organizmu skończy się dopiero z zakończeniem wieków [4]).

Między Chrystusem — głową, a ciałem mistycznem — Kościołem zachodzi podobny stosunek, jak między głową ludzką, a fizycznym organizmem.

Głowa zajmuje w organizmie ludzkim pierwsze i naczelne miejsce; z niej rozchodzi się władza kierownicza i działanie na całe ciało; to też nie darmo wznosi się w górę i z góry spogląda na cały organizm. Bez głowy cały organizm traci znaczenie, traci życie.

Chrystus, jako głowa mistycznego ciała, jest Bogiem, pełnią Bóstwa [5]). Jakkolwiek przyjął ciało ludzkie, nie przestał być Bogiem i jako Bóg oddziaływa na Kościół. Od niego rozchodzi się po całym organizmie mistycznego ciała ożywcza siła, z niego spływają zdroje łaski, od niego otrzymujemy wiarę, płynącą ze słowa bożego, odpuszczenie grzechów i obietnicę żywota wiecznego [6]); on nas sakramentami swy-

---

[1]) Sermo 71, c. 19, § 32.

[2]) En. in ps. 148 § 8; En. in ps. 85, § 4, in illa forma servi, quam assumpserat... in forma Dei aeqnalis Patri, in forma servi caput Ecclesiae... En. in ps. 56 § 1; De f. et symb. c. 4 § 6. De ag. chr. c. 20 § 22; Euch. c. 56. En. in ps. 142 § 3.

[3]) Sermo 294 c. X. § 11; En. in ps. 26 § 2.

[4]) Sermo 116, c. 7, § 7; Augustyn bardzo często wraca do porównania Kościoła z ciałem ludzkiem, a uzasadnia to — Sermo 361 § 14; Iam saepe diximus, sed quia similitudo aptą et rem bene insinuat, repetenda est.

[5]) In Jo. tract. 28, § 1; De ag. chr. c. 20, § 22; Sermo 341 c. 9, § 11.

[6]) In Jo. tract. 3, § 8, 9; En. in ps. 140, § 2, 3; En. in ps. 26, § 2. Non solum caput nostrum unctum est, sed et corpus ejus, nos ipsi...

mi uświęca, abyśmy byli wiernymi jego członkami [1]). I tak, jak nieraz ciało cierpieć musi, gdy się leczy chory członek, by reszta była zdrową, tak często Chrystus doświadcza swych wiernych, by ich oczyścić i tem więcej uświęcić [2]). Chociaż Kościół, jako ciało mistyczne, pędzić musi ciężki żywot na tym świecie, to jednak nie jest odciętym od swej głowy, która jest w niebie i stamtąd spogląda, by przychodzić z pomocą i radą [3]). Chrystus, jako człowiek, krótko przebywał na ziemi wśród swoich w widzialnej postaci, zapowiedział jednak swą obecność w Kościele na zawsze i w sposób niewidzialny nim się opiekuje [4]). Pomocy i opieki Chrystusa Kościół ustawicznie potrzebuje, gdyż nieustannie zagraża mu walka z szatanem o dusze. W sakramencie chrztu łaska Chrystusowa obmywa dusze z grzechów i wyrywa je z mocy djabelskiej, a przysposabia na członków ciała Chrystusowego [5]). Wszystko to są łaski darmo dane — *gratiae gratis datae* — na któreśmy niczem nie zasłużyli [6]).

Chrystus, głowa nasza, krwią swoją nas odkupił, uzdrowił i ustawicznie się za nas Bogu Ojcu na ołtarzu ofiaruje, by nas z nim jednać i prowadzić do szczęśliwej nieśmiertelności [7]). Uzdrowienie przez Chrystusa polega na przywróceniu nam miłości bożej i jedności, czyli zgody wzajemnej. Związką tedy, utrzymującą w jedności mistyczne ciało Chrystusa, czyli członków Kościoła, jest miłość. Dopóki członek nie został zupełnie odcięty, dopóki choćby słabem włóknem trzyma się ciała, dopóty należy do całości organizmu, zwłaszcza gdy jest nadzieja, że może być uleczonym. Odciętym członkom biada; już nie wrócą do życia, ni zdrowia. Dlatego musimy się usilnie starać, by nie zerwać łączności z ciałem Chrystusa, bo dopóki żyjemy, zagraża nam możliwość tego zerwania. Dopiero w drugiem życiu będziemy zupełnie doskonałymi członkami Kościoła. To też Chrystus modli się

---

[1]) C. lit. Pet. l. 2, c. 104, § 239; Sermo 137, § 2.

[2]) De doctr. chr. l. 1, c. 16; De gr. et lib. arb. c. 9.

[3]) En. in ps. 123, § 1... horum omnium membrorum caput in coelo est. Corpus autem, etiamsi laborat in terra, non est praecisum a capite suo. Desuper enim caput prospicit et consulit corpori...

[4]) In Jo. tract. 50, § 13; tract. 106, § 2, praesentia spirituali cum eis erat futurus... et cum tota Ecclesia sua in hoc mundo usque ad consummationem saeculi.

[5]) De nupt. et concup. c. 20, § 22, cf. Jo. I. 12.

[6]) De gr. et lib. arb. c. 8, § 19, 20, c. 9, § 21.

[7]) Ep. 187, c. 6, § 20; En. in ps. 26, § 2, ille sacerdos talis extitit, ut ipse esset etiam sacrificium... tamquam agnus immaculatus fuso sanguine redimens nos, concorporans nos sibi...

za nami w niebie, przeprasza Ojca za nasze grzechy, bo pragnie, by tam, gdzie jest głowa, znalazły się kiedyś i członki[1].

Na oznaczenie pokrewieństwa między głową a ciałem może nam służyć stosunek, jaki zachodzi między winnym szczepem a latoroślami. Chrystus posługuje się tym obrazem, nazywając siebie winnym szczepem, a nas latoroślami[2]. Jak latorośle i gałązki z pnia czerpią soki żywotne, tak my wszystko, co mamy i czem jesteśmy, zawdzięczamy Chrystusowi, który jako człowiek jest tej samej, co my, natury. Gałązki, odcięte od pnia, usychają i marnieją; kto odpadnie od Chrystusa, zginie na wieki. Kościół, który się nazywa winnicą Pańską, a który też można przyrównać do olbrzymiego drzewa, ocieniającego świat cały, dużo już utracił gałęzi i latorośli w czasie burz, jakie nad nim przeszalały pod postacią herezyj i schizm, ale moc Chrystusowa sprawia, że się ustawicznie zieleni, wypuszcza konary i rodzi owoce[3].

Chrystus jest kamieniem węgielnym Kościoła, on jest opoką, pierwszorzędną i niewidzialną. Fundament dla budowy jest tem, czem głowa dla ciała; jak ciało bez głowy, tak budowa bez fundamentu istnieć nie może[4]. Na Chrystusie buduje się Kościół, jako nowe Jeruzalem, które widział w duchu prorok Dawid[5]. Dawid opiewał w swych pieśniach potrójne Jeruzalem: pierwsze, jako swą stolicę, która jednak była tylko cieniem przyszłego Jeruzalem t. j. Kościoła Chrystusowego. Ziemskie Jeruzalem żydowskie należy już do przeszłości; za niewierność i niewdzięczność względem Mesjasza zostało odrzucone[6]. Drugiem Jeruzalem, które miał na myśli psalmista, jest Kościół w niebie, który Dawid w zachwyceniu oglądał w blaskach chwały i majestacie — to ten według Apostoła „dom mieszkania naszego... nie rękoma robiony,

---

[1]) Sermo 137, c. 1, § 1. Caput ergo habemus in coelo. Caput nostrum interpellat pro nobis... propitiat Deum pro peccatis nostris; ut et nos in fine resurgentes, et immutati in gloriam coelestem, sequamur caput nostrum... Quo enim caput, et caetera membra... In Jo. tract. 106, § 2, 3, 4, 5; Sermo 117, § 1. Orat ut homo, dat, quod orat, ut Deus...

[2]) Jo. XV. 2.

[3]) De cat. rub. c. 24, § 44; In Jo. tract. 80, § 1. Augustyn zastrzega się, że jest to tylko podobieństwo: dicitur vitis per similitudinem, non per proprietatem... Ep. 52, § 2; In Jo. ep. tract. 2, § 2. Agnoscimus agrum, ubi vitis plantata est... cum autem creverit, totum occupavit...

[4]) Sermo 129 c. 7, § 8; 197 § 3, 4.

[5]) Ps. 83, 5.

[6]) Cf. Matth. XXIII. 37.

wiekuisty w niebiesiech" [1]). Wreszcie trzeciem Jeruzalem, które duchem proroczym oglądał król-pieśniarz, był przyszły Kościół ziemski, który się buduje jako potężne państwo z kamieni żywych, jak się wyraża św. Piotr [2]). Kościół ten jest świątynią Boga, która wzrasta od podstaw, od kamienia węgielnego, Jezusa Chrystusa, a buduje się z poszczególnych członków, ożywionych wiarą, spojonych miłością.

Narody pogańskie przedstawiają całą sumę surowego materjału, to owe góry, z których głosiciele słowa bożego łamią kamienie i obrabiają, by były zdatnymi na duchową i wiekuistą budowę. Ponieważ fundament Kościoła — jego mistyczna głowa, jest w niebie, przeto ku niebu wznosi się budowanie, bo Kościół ziemski dąży do ojczyzny niebieskiej — *ad illam Jerusalem matrem nostram* [3]). Stąd wypływa wielka godność poszczególnych kamieni — każdej duszy z osobna, którą można nazwać czwartem Jeruzalem; by nie została odrzuconą przez budujących, jako kamień nieużyteczny, musi się wewnątrz budować na zasadach Chrystusowych [4]).

Na tych uwagach nie wyczerpuje się jeszcze stosunek Chrystusa do Kościoła, jako głowy do ciała. Widzieliśmy już, że Augustyn uważa Chrystusa i Kościół za jedną, nierozdzielną całość. Z tej jedności wynika najściślejszy związek tak, że Augustyn nie waha się powiedzieć: *ipsi christiani cum capite suo, quod ascendit in coelum, unus est Christus* [5]).

Połączenie Chrystusa z Kościołem jest podwójne: fizyczne, polegające na wspólności natury ludzkiej w Chrystusie i członkach Kościoła. W ten sposób Chrystus, jako Bóg-człowiek, złączony jest z Kościołem nie tylko in actu, ale także z Kościołem in potentia, czyli z całą ludzkością — *concorporans nos sibi* — bo dla odkupienia całej ludzkości stał się człowiekiem i dla wszystkich ustanowił Kościół. Tu jednak zaznacza Augustyn wielką różnicę między głową, a resztą członków: *Quamvis enim eadem natura sit corporis Ecclesiae, multum tamen distare inter caput et membra caetera.*

---

[1]) II. Cor. V. 1; Ep. 55 e. 6, § 10 illa Jerusalem, cuius cives sancti Angeli sunt...

[2]) I. Petr. II. 5.

[3]) En. in ps. 121 § 3, 4.

[4]) En. in ps. 121, § 5; En. in ps. 47, § 4; ps. 55, § 1.

[5]) En. in ps. 127, § 3... non ille unus et nos multi, sedet nos multi in illo uno unum cf. ibid. § 8... De Gen. ad litt. l. 2 c. 24 § 39; Sermo 45, § 5... unum voluit esse hominem Deum Christum et Ecclesiam; Sermo 91, c. 7, § 8.

quis non intelligat? [1]) Duchowe czyli mistyczne połączenie zasadza się na miłości [2]). Łącznikiem mistycznym między głową a ciałem jest Duch św., którego Chrystus daje Kościołowi, by był pierwiastkiem ożywiającym i dawcą łask, jakie Chrystus zostawił dla naszego uświęcenia i zbawienia w Sakramentach [3]).

Duch św. czynnym był przy Wcieleniu Słowa Przedwiecznego, kiedy to odwieczny plan Boga, odnoszący się do Kościoła, zaczął się urzeczywistniać w czasie. Wcielenie bowiem było pierwszą podstawą Kościoła, o ile byśmy za taką nie uważali obietnicy, danej pierwszym rodzicom po upadku w raju. Przy chrzcie Chrystusa i w wieczerniku nad apostołami ukazał się Duch św. w postaci widzialnej, jako znak i rękojmia, że będzie przychodził do serc ludzkich w sposób niewidzialny w sakramentach św. [4]). Mieszka w nas, jakby w swej świątyni [5]).

Z tego tytułu można Kościół nazwać prawdziwym Sijonem, którego Sijon starozakonny, gdzie Bóg pod obłokiem mieszkał, był tylko figurą. I każda poszczególna dusza, jako mieszkanie Ducha św. jest członkiem Sijonu, jest Sijonem [6]).

Chrystus daje nam Ducha św. na dowód swej ku nam miłości. Dlatego powinn śmy pokonywać wszystkie przeszkody, zwalczać wszystkie trudności, byle utrzymać łączność z Jego ciałem. Bo jakkolwiek teraz żyjemy wiarą — *modo per fidem* — to zasłużymy sobie na oglądanie Boga — *tunc per speciem* — jeżeli wytrwamy w miłości Chrystusowej, której zadatkiem jest właśnie Duch św. [7]). Obecność w Kościele Ducha św. zapewnia nas również o obecności Chrystusa, który opiekuje się całym Kościołem, jako swą oblubienicą i każdą duszą oddaną sobie [8]). Duch św. rzeczywiście

---

[1]) De ag. chr. c. 20, § 22.

[2]) Sermo 361 c. 13 § 14; En. in ps. 98, § 4. Quia lege quadam civitas continetur; lex ipsa eorum charitas est; et ipsa charitas Deus est. Cf. I. Jo. IV., 8.

[3]) In Jo. tract. 26, § 13. Fiant corpus Christi, si volunt vivere de Spiritu Christi. De Spiritu Christi non vivit, nisi corpus Christi. Ep. 185 c. 10, § 46; Sermo 71, c. 20, § 33.

[4]) Ep. 98, § 5; En. in ps. 98, § 4.

[5]) Ench. c. 56; Sermo 161, c. 1, § 2; Ep. 187, c 10, § 33; De Trinit. l. 15, c. 26, § 46; cf. I. Cor. III. 16; Galat. IV., 6.

[6]) En. in ps. 98, § 4. Cum autem fuerit in te Deus... tu factus es de Sion, membrum de Sion, civis de Sion...

[7]) In ep. Jo. ad Partt. fract. 9, § 11; En in ps. 149, § 4. Visio, quae modo est, per fidem est, quae futura est, per speciem erit...

[8]) En in ps. 127, § 8... arrham dedit Spiritum sanctum.

mieszka w Kościele, jak mieszkał w Chrystusie, ożywia go i użycza mu siły do działania [1]). Czem jest dusza dla ciała człowieka, tem jest Duch św. dla mistycznego ciała Chrystusowego. Duch św. sprawia to w całym Kościele, co dusza we wszystkich członkach ciała ludzkiego; dusza sprawia, że zmysły i władze człowieka spełniają swe czynności; Duch św. działa przez członki Kościoła, jaśniejące najróżnorodniejszemi cnotami we wszystkich stanach i warstwach społecznych. Członek, odcięty od ciała ludzkiego, traci życie, bo w nim niema duszy; w organizmie jednak cała pozostała dusza, bo jej zmniejszyć nie można; członek odcięty od ciała Chrystusowego, pozbawiony Jego miłości, traci życie duszy, niema w nim Ducha św., którego dary nie uszczuplone pozostają w Kościele [2]). Z tego wynika, że poza Kościołem niema Ducha św., bo jest tylko w Kościele, jako mistycznem ciele Chrystusa, według słów Apostoła: „Jedno ciało i jeden duch, jako jesteście wezwani w jednej nadziei wezwania waszego“ [3]).

X. Dr. Jan Czuj.

Religijne zagadnienie u Wyspiańskiego.

C. d.

Ustaliliśmy zatem pogląd poety na Boga, rządzącego światem. Zanim zakończymy ten ustęp, zwrócić należy uwagę na postać tak blizko związaną z Bogiem, Bogarodzicę. Znajdziemy bowiem u Wyspiańskiego tę samą rzewną cześć dla N. Maryi Panny, której wyraz dała nasza poezja romantyczna. Przewija się ona poprzez wszystkie ważniejsze utwory poety. W latach młodzieńczych, kiedy poeta pracował nad witrażem dla katedry lwowskiej (r. 1892—3) pisze obrazek dramatyczny: „Królowa Polskiej Korony“. Nieszczęśliwy król, Jan Kazimierz, modli się w ka-

[1]) Sermo 71, c. 3, § 5. Judaei et quicumque haeretici Spiritum sanctum confitentur, sed eum negant esse in Christi corpore, quod est unica eius Ecclesia, non utique nisi una catholica...

[2]) Sermo 267, c. 4, § 4.

[3]) Ephes. IV. 4.

tedrze, ma spełnić dzieło, do którego potrzeba nieba łaski i pomocy Tej, którą chce Królową Korony polskiej nazwać, — uwolnić królestwo od najezdników. I widzi obraz jego, obraz Polski, jako Pani płynącej po przestworzu w koronacyjnym, zniszczonym płaszczu; jej głowa pochyla się, opada na bok pod wrażeniem klęsk, omdlałe wyciąga ramiona i tak płynie do bram nieba, by przed Maryą wypłakać swą niedolę i sukurs wyjednać dla sprawy. Pokrzepiony tem widzeniem, król dobywa silnych wyrazów i w kornej modlitwie poleca Królowej Niebieskiej swój lud i jego cierpienia. Składa przysięgę, śluby, między którymi był jeden, jakby nie z owych czasów ducha pochodzący:

Przysięgam Ci niebios Królowo święta!
Maryjo pełna łask,
Niepokalanie poczęta,
Królową mego królestwa
przezemnie dziś nominowana,
obronić kraj mój zewsząd ciemiężony,
wyzwolić lud mój prosty uciśniety!

Z tego samego mniej więcej czasu, co „Królowa Polskiej Korony", pochodzi inny ślad czci dla Najśw. Maryi Panny. Jest to bardzo drobna rzecz, nie obliczona na efekt literacki, spowiedź uczuć przed przyjacielem, list z Reims do Rydla; ale tem właśnie jest i droższa, przez ową bezpośredniość uwięzionego pismem uczucia, naturalnego odruchu, który zawsze jest wyrazem najgłębszych myśli i przywiązań.

Poeta mianowicie, który od dawna pragnął poznać zblizka katedrę w Reims, a potem trawiąc całe dnie na jej oglądaniu, przebył dnie jakiegoś olśnienia dziełem sztuki kościelnej, — nie mógł się od świątyni oderwać. Więc kiedy po raz ostatni zatrzymał się przed nią i objął ją miłośnem spojrzeniem, jego wzrok zatrzymał się na postaci Maryi „w koronie, w płaszczu bogatym królewiąt", — a tak miłej, — anielskiej, — że zaczął poeta do Niej mówić, prosić:

„Dziewico przeczysta, Ty, coś przebudziła dziewczę, że kraj ocalić uciekła z chaty ojców; Ty, coś dała mu tyle hartu, że dziewczyna przywdziała zbroję i biały sztandar z twoim obrazem wiodła w bój pędzić wroga ojczyzny... daj nam Ty taką siłę zwycięską, tyle mocy niezmożonej, tyle wytrwałości do pracy... My przywiążemy się do pracy ciężkiej, my chcemy upadać pod jej ciężarem, aby dowieść naszej miłości; my spłonąć chcemy na stosie poświęceń dla kraju... na twoją cześć, Marjo! Ale Ty po-

zwól nam widzieć, choćby w dzień naszej śmierci, w ostatniej choćby chwili zobaczyć tęczę przyszłości.... jutrzenkę nowego życia... niech ona zabłyśnie nam koroną promienną na twojem czole dziewiczem, ty Królowo naszej ojczyzny, Królowo polskiej korony!“ Zaprawdę nie wiele mamy w historji naszej literatury tak pięknych i tak szczerością rozrzewniających uwielbień Marji. Jeśli zaś jaki żal wolno przy tych słowach wyrazić, to ten tylko, że modlitwę wielkiego poety zna nie wielu, żeśmy jej nie rozpowszechnili wtedy, gdy jej treść aktualną była.

Jeśli dalej pilnie szukać będziemy, to prawie w każdym utworze znajdziemy dowód czci poety dla N. Maryi Panny. W „Legionie“ Mickiewicz, zwrócony przez matkę Makrynę ku praktyce religijnej Kościoła, a raczej oboje — wierni zresztą w tem romantycznemu kierunkowi poezji polskiej, którego są reprezentacją — wielbią Ją — „Królową, Panią słoneczną w odmętach, w gwiazd zawierusze“, „Niepokalaną, Królową Polską“. A trzeba przyznać, że to imię ma jakiś dziwny urok w utworach Wyspiańskiego; ono rozjaśnia ponurą zwyczajnie ich treść, — jest jak promień światła tłumiący ciemność. I tak jest w rapsodzie „Bolesław Śmiały“. Król ten, wypędzony z kraju, tułacz po dalekich ziemiach, przeklęty, nieszczęśliwy, przy poszumie wiatru nasłuchuje wieści z Ojczyzny, — choćby odgłosu życia tam bijącego, — słucha, — a mgły, co się poderwały gdzieś z nad polskiej ziemi, od Lednicy, gdzieś od Gniezna płyną i spragnionemu przynoszą ze sobą dźwięk dzwonów, bijących ranne „Ave Maria“ Królowej świata. Wreszcie—piękne strofy „Akropolis“, głosy dzwonów krakowskich, które poeta pobudził w noc, by czciły Marję i od marjackich począwszy, głoszą Jej czystość dziewiczą, roznoszą wieść o przemożnej opiece nad miastem. Tak tedy w religijności znakomitego poety nie brakło tego, powiedzmy, narodowego już tonu, czci dla Matki Bożej, która dawała minionym wiekom Polski natchnienie do szlachetnych w różnych dziedzinach sztuki utworów.

Jednakowoż najważniejszego współczynnika religijności Wyspiańskiego dopiero teraz dotkniemy. Jest zaś nim prawda o życiu zagrobowem (powiedzmy wyrażeniem poety o „Śmierci“) i w konsekwencji ocena wartości życia ziemskiego w porównaniu z tamtem. A kiedy przedtem, mówiąc o braku rozwoju religijnego u Wyspiańskiego, zrobiłem małe zastrzeżenie, to ono odnosi się właśnie do tego zagadnienia; na tym bowiem punkcie, dokonało się w nim

przeobrażenie. Kto, jak on — poeta „Legionu“, „Klątwy“, „Nocy Listopadowej“,— całą swoją istotą twórcy i człowieka zmierzył się z odwiecznem pytaniem „życia i śmierci“, ten nie mógł poprzestać na formule, nawet na jej przeżyciu swojemi dziełami, on ich znał więcej, szedł myślą ciągle naprzód w labiryncie coraz nowych form zjawiska, przebywał rozwój. I tak rozróżniam odnośnie do zaznaczonego problemu dwa okresy twórczości Wyspiańskiego; pierwszy, na który się złożyły dramaty greckie lub na grecki sposób tworzone narodowe, dalej antyromantyczne i piastowskie, zakończony „Akropolidą“, która jest pomostem łączącym go z drugim; w tym zaś linię rozwoju znaczy „Noc listopadowa“, „Skałka“, a przedewszystkiem „Sędziowie“, ostateczny (zapewne tylko w konturach narysowany) obraz przekonań posty.

„Życie i śmierć“ odgrywają w poezji Wyspiańskiego od początku jego pracy rolę pierwszorzędną, jak to zauważył już zresztą St. Brzozowski w swojej chaotycznej i bezwartościowej rozprawie pod powyższym tytułem (Stanisławów, Haskler, VIII. „Literatury i sztuki“). Z pewnością przyczynił się do tego w znacznej mierze wątły i podatny dla słabości organizm poety, co go skłaniało do częstych refleksji na ten temat; im częściej powtarzają się ataki choroby, tem więcej tych myśli, aż potem staną się owe smutne myśli i wyczuwanie śmierci podświadomym stanem duchowym poety, w którym tworząc, nadał swoim płodom tak wybitnie makabryczne piętno. Śmierć wtedy jawi się mu już nie jako próg, odgraniczający od Życia nieśmiertelnego, nawet nie jako brak jakiś, ale jako potęga, której się żaden żyjący człowiek nie oprze (jakież tu podobieństwo z tworami fantazji ludowej). Ta to nadziemska potęga nieubłagana idzie przez świat i zabiera ludziom życie, z jakichże nieraz marnych powodów: za drobną jakąś radość zaznaną (Wanda), z przypadku, od którego jednak życie i śmierć zależy człowieka (Meleager),— dzięki zazębieniu się stosunków ludzkich (Protesilas i Laodamia),— lub wprost omyłce ludzkiej (dzieci w „Klątwie“). Cóż to za straszna bogini, ślepa lub zawiązane ma oczy, że nie widzi niesprawiedliwości, z jaką działa! Odbiera wiele, bo życie, a co daje? Rozkład, zgniliznę, unosi życie, zostawia świecące pustką oczodoły, kości rzucane w ziemię. Laodamia, wywołująca zmarłego męża, dobitnie się o tem przekonuje; dotyka chłodnych jego rąk, zimno i martwota wieje z jego postaci. Pod wpływem tych nastrojów kreśli poeta swoje kartony do witrażów kościel-

nych i przebija z nich to okropne zwycięstwo śmierci, które wyśpiewał w dramatach: — zginąłeś oto człowiecze,— nic z ciebie nie zostało,— przeszedł nad tobą i zdeptał cię majestat groźnej śmierci. A zatem jeden wniosek — bronić się przed nią, uciekać od niej!

Poeta, który zwykł był wszystkie wartości odnosić do ideologii narodowej, to samo uczynił i z tem pojęciem śmierci. I nie trudno mu było dojść do przekonania, że zgubą byłoby dla narodu lekceważenie jej. A kiedy wmyślił się w fatalne następstwa igrania ze śmiercią, to aż krzyknął z przerażenia, krzykiem, którego imię: Legion, Wesele, Wyzwolenie. Dojrzał bowiem, że taką właśnie rolę — igrania ze śmiercią — odgrywał i odgrywa jeszcze romantyzm przez swój messjanizm, stosowany jako system polityki narodowej. Jak można mówić, że losem Polski jest cierpieć i nie istnieć? Próżno gadacie, że ma ona misję od Boga: szerzyć królestwo Ducha w zmaterjalizowanym w okół siebie świecie. To złuda,— to poezja. Skąd się jednak wzięło to przekonanie? Jakie jego źródło? Znalazł je Wyspiański, jest niem skojarzenie skutków ofiary krzyżowej Chrystusa z ewentualnymi skutkami ofiary Polski,— „Polska Chrystusem narodów.“ Genezę tego poglądu przedstawił poeta w „Legionie“. Mickiewicz, pogodzony z Kościołem, chce podjąć czyn dla Polski. Ukazuje się mu św. Andrzej, apostoł Słowian, w chwili, kiedy radośnie przyjmuje mękę krzyżową. Nad ludem otaczającym Mickiewicza zostaje jakby urok krzyża; jest w nim gdzieś ukojenie (jak mówił Pius IX), które pociąga, choć i lęk jakiś od niego odpycha. Ten to krzyż stanie się sztandarem Mickiewicza odtąd. Nim będzie rządził i rozkazywał,— w nim będzie zwyciężał, w nim symbolu cierpienia — odrodzenie Polski. I tak Mickiewicz, o którym rzesze mówią „szaleństwem krzyża szalony“, wyzna istotę swoich zamierzeń odnośnie do czynu narodowego:

Moje dziedzictwo ruiny
strojne cyprysów żałobą.
Królestwo moje świat Ducha!

Czyż się więc dziwić będziemy, że nawą, powożoną przez takiego historjozofa, steruje Tanatos,— że ją ku śmierci wiezie? Wtedy i końcowe słowa „Legionu“: „zmartwychwstaniecie młodzi“, wypowiedziane do buntujących się legionistów, są zaprawne sarkazmem, jednak zasłużonym.

Więc cóż stąd? To, że narodowi podbitemu zostaje praca i walka. Praca nad utrzymaniem życia, rozwinięciem

tych przymiotów, któreby mu zapewniły zachowanie jego indywidualności w pośród brutalnych wrogów i fałszywych przyjaciół,— czyli tego, co dosadnie skreślił Brzozowski l. c. 134: „Skoro historja jest gnojówką, my będziemy w niej żyć, tylko musimy rozwinąć w sobie odpowiednie instynkty". Walka z wadami które mu przeszkadzają w pracy. Jedną z nich bardzo ważną — urobiony przez messjanizm pociąg do śmierci narodowej, to — modlenie się do Polski, którą się ma za ideał nie w tem znaczeniu, by do niego dążyć należało, ale w tem, że jest i będzie w krainie idei tylko. Rozumiał więc poeta messjanizm jako rezygnację z życia, jako pakty za śmiercią. A że jego źródłem było chrześcijaństwo, więc pod pewnym względem ciosy wymierzone messjanizmowi dotknęły i chrześcijaństwa. Jakkolwiek bowiem ono nie może brać na siebie odpowiedzialności za działalność tych, co je na swój sposób pojęli, i Wyspiański też nie może winić go, że było podłożem do powstania historjozofii messjanistycznej, to przecież postawił on mu pewne zarzuty, które uwydatnić należy. Oto doszedł do przekonania, że prawem filozofii życiowej chrześcijaństwa jest prawo śmierci, „zaprzej siebie samego", umrzyj swoim pragnieniom, zrezygnuj z osobistych przyjemności w imię duchowych dóbr dla zbawienia,— to zasady, które się nie mogą w umysłowości poety zgodzić z jego przewodnią ideą — żyć! Zapomniał, że Chrystus prócz tych haseł rzucił i inne, jako ich uzupełnienie: potępienie kwietyzmu w paraboli o talentach, w przekleęciu nieurodzajnej figi,—że prócz nauczycielstwa prowadził także i szlachetną niezmiernie walkę ze złem swoich czasów; zapomniał wreszcie i o najważniejszej rzeczy, że po śmierci i krzyżu Chrystusa przyszło zmartwychwstanie nie dla samego faktu, że śmierć nastąpiła, ale że to była śmierć Chrystusowa, Boski cud,— że więc chrześcijaństwo nigdy nie nakazywało umierać w tem znaczeniu, że za każdą śmiercią i każdą rezygnacją przyjdzie powstanie. Zapomniał o tem na nieszczęście poeta; dlatego ten ustęp jego walki z romantyzmem, który dotyczy ideologii chrześcijańskiej, mieści w sobie dużo zgrzytów, bardzo niemile dotykających uszu wierzącego. Jest to scena z „Legionu", kiedy pozyskani dla idei Mickiewicza ludzie spostrzegli, że ich wieść chce gdzieś w zaświaty, zamiast dokonać czynu dla Polski; dlatego rzucają się na proporce z religijnymi symbolami, szarpią je, depcą i łamią krzyże. Konrad z „Wyzwolenia", uświadomiwszy sobie stosunek chrześcijaństwa do romantyzmu (w rozumieniu poety) woła:

Krzyż przeklnę — Chrystusa godło,
co męką naród uwiodło!
Dla mnie żywota prawo!

— sądząc mylnie, że chrześcijańska nauka o cierpieniu i śmierci uspiła ducha polskiego i skazała go na bezpłodne marzycielstwo. Ale za wiele powiedział; nie jest to odgłos najgłębszych wewnętrznych głębin ducha poety, ta chęć zerwania z chrześcijaństwem, jeno jeden z objawów szamotania się duchowego, epizod z walki, po którym przyszło upamiętanie. Zbyt silnie tkwił w chrześcijaństwie swoją twórczością, zbyt się zrósł z niem i zbyt silnie odczuwał jego wartość, by mógł jednem zdaniem przekreślić swoją wiarę. Więc kiedy przekląć chce krzyż, to nie jako symbol chrześcijaństwa, nie jako system religijny, ale jako sztandar polityczny tych, co Polskę pogrzebali i o jej wskrzeszeniu nie myślą. Sam to wyznaje:

Krzyż znaczę Boży nie przeto,
bym na się krzyż przyjmował,
lecz byś mnie Boże od męki,
od męki krzyża zachował!

Tak więc prawdą jest, cośmy wyżej powiedzieli, że w tym okresie poeta ucieka przed widmem śmierci; pełno go około niego, i w sobie pod wpływem wzrastającej choroby odczuwa poeta jego obecność, a on żyć chce, — więc ucieka, broni życia, apoteozuje je. Te same rozkładcze pierwiastki dostrzegł we współczesnej ideologii narodowej, jako relikwiarz przeszłości czczone; a że w nich widzi czyhającą śmierć, więc je wyrzucić chce z duszy zbiorowej.

Zdało mu się na chwilę, że odnalazł nową formułę, mającą zbawić naród i przedstawił ją w „Akropolis"; na złocistym rydwanie w gmach katedry wjeżdża na miejsce Geniusza, co krzyżem — śmiercią chciał naród bierzmować, jasny, młodzieńczy, bóg Słońca, Chrystus — Apollo. Nie Apollo, bo — powtarzam — zbyt głęboko tkwił poeta w chrześcijaństwie; i nie Chrystus, bo się boi jego krzyża. Po okresie burzy początek spokoju, — po czasie burzenia i analizy czas budowania, syntezy.

Z r. 1904 zaczął się u poety drugi okres „Nocą listopadową", poprzedzony już „Bolesławem Śmiałym" (rapsodem) i po części „Akropolidą". Czy rzeczywiście był to nowy okres w rozwoju poety myślowym odnośnie do zagadnienia życia i śmierci?

Nie napróżno poeta dał dramatowi miano „Nocy listopadowej" i nie napróżno pierwszorzędne miejsce w gro-

nie greckich postaci wyznaczył Korze. W noc listopadową bowiem kiełkują ziarna ręką znużonego rzucone rolnika, ziarna, z których wkrótce, z wiosną, duże wyrośnie zboże; odbywa się w przyrodzie to, co świat starożytny usymbolizował w pięknej legendzie o Demetrze i Korze, — lub co Chrystus w znanych wyrzekł słowach: „nisi granum frumenti in terram cadens mortuum fuerit, ipsum solum manet“. Dlatego w dramacie Wyspiańskiego padają ziarna w ziemię, krew się polska leje obficie, a nad tą rolą tak zasianą wieszcze słowa głosi Kora, wyrażając najściślej myśl poety:

Przejdziecie jeszcze niejedną nędzę
i niejedną przebolicie nędzę.
A jeżeli lichego serca ludzie
w was samych gotują wam zgubę,
ja ich powołam i jak plewę zmiotę!
w ziarnach tu — na dnie — przechowam cnotę!
Za czas znów wrócę i jeszcze razy wiele
przyjdę — Wiosna, z gwiazdą na czele,
i żywot dam, tlejący w zgliszcz popiele!
— — — — — — — — — — —
Krwi przelanej nie zmarnię,
Krwią pola a rolę użyźnię
i synów z krwi tej dam — kiedyś — ojczyźnie.

Porównajmy te słowa z beznadziejnością „Wesela“, „Wyzwolenia“! Brzmi tu nieznana dotąd z Wyspiańskiego ufność narodu i coś więcej jeszcze: że krew przelana na marne nie idzie i że z jej rubinów wykwitnie Wiosna, odrodzenie. Taki jest porządek rzeczy w naturze, taki też obowiązuje w dziejach ludzkości, bo „umierać musi, co ma żyć“ — powiada Kora. (Dok. nast.)

X. Jan Piwowarczyk.

Cypryan Norwid.

Do licznych objawów dość dziwnych, które napotykamy obecnie w dziedzinie naszej krytyki literackiej, trzeba n. zd. zaliczyć i pełne przesady hołdy pośmiertne składane „geniuszowi“ Cypryana Norwida (ur. 1821 r., zmarłego w Paryżu 1883 r.). Szerszym kołom czytelników pozostał on tak samo nieznanym, jak był za życia, ale znalazł kółko wielbicieli, złożone z estetyków wykwintnych, lubujących się w poezyi subtelnej, dla ogółu nie zrozumiałej. Przed innymi zadał sobie dużo pracy p. Zenon Przesmycki, zbierając całą spuściznę literacką i artystyczną nieszczęśliwego poety, jego pisma wy-

dane i nie wydane, jego listy, rysunki i t. d.[1]) i wszelkie szczegóły, dotyczące jego działalności. Przyznajemy też jak najchętniej wartość niepoślednią pracy szan. wydawcy, rzucającej dużo światła na ów okres naszego piśmiennictwa. Nie sądzimy jednak, że mu powiodło się wykazać bezpodstawność zarzutów, czynionych przez wielu krytyków Norwidowi.

Poeta ten posiadał niewątpliwie talent niepośledni, duszę gorącą i wrażliwą na piękno przyrody i sztuki, zdolną do najszlachetniejszych uniesień, a odpychającą ze wstrętem wszystko, co nizkie i podłe. Dlatego też ukochał on religię Chrystusową, przejął się jej prawdami, nie dał się wciągnąć w żadną herezyę. Kuszącym go Towiańczykom odpowiedział, że „Mistrza, ani Pana innego, okrom Zbawiciela, nie zna“ [2]). O doktrynerach nie wierzących pisze on tak: „Wszystkie wyższe umysły w Europie szły naprzód po powaśnieniu się z Kościołem, bo to dawało siłę wobec mas. Talent, który pobluźnił się z Kościołem, miał przez to samo patent na Geniusz. Gieniusz awansował jeszcze wyżej, bywał bogiem“ [3]).

Wiarę swoją w Bóstwo Zbawiciela wypowiada on w inwokacyi następującej [4]):

„O Jezu, Jezu! Ty, któryś z Proroków,
Ani z zakonu — i słowa nie zmienił,
Tylkoś je, na kształt chmur, na kształt obłoków,
Promieńmi słońca wolności zrumienił;
Prawdziwy Boże i człeku prawdziwy!
Który Cesarstwo — cesarstwo tego świata
Umiałeś spożyć gałązką oliwy, —
Ty, — pobłogosław nam, w poddaństwie kata!“

Nieraz powtarzają się w pismach jego głębsze poglądy zasadnicze „o dwóch rzeczywistościach“, pozornej i właściwej, o fałszu zewnętrznego świata, o pogaństwie wnętrznem cywilizacyi chrześcijańskiej, o bezinteresownej prawdzie i jej krzyżowaniu... Istotą życia jest nie

„Energia, która tylko to wie, że ugania, nie zdyszany ruch prac, nie dziejów świetna kaligrafia, lecz akty moralne

---

[1]) Cypryana Norwida pism zebranych, tom A. Warszawa-Kraków 1911. Wydał Zenon Przesmycki. Stron 1110, z których same przypisy wydawcy zajmują 268 (od 707—1075).

[2]) Por. list Norwida do Zaleskiego (przyt. w książce Krechowieckiego p. n. „O Cypryanie Norwidzie“ Lwów 1909, t. I. str. 202).

[3]) W art. p. n. „Poznańskie“ 1846—1848, przyt. przez Krechowieckiego l. c. t. II. str. 150.

[4]) „Krąg ideowy“ (str. 236 tomu A.).

„ruch pracom nadające“, lecz bezinteresowne pragnienie i szukanie prawdy, lecz pełne, święte bożo-człowieczeństwo“ [1]).

O ministrach niedowiarkach pisze Norwid tak:

„Minister szukać aż pocznie w portfelu,
Coby to było? tak zwany Gniew Boży?
Twierdząc, że jeśli epok nie ma wieczność,
A miłość granic nie ma, to obiedwie
Tylko są bladym pomysłem zaledwie:
A przeto Boży-gniew jest to... konieczność!“ [2])

W ogóle dużo u niego myśli głębszych, prawdziwych, płynących z ducha chrześcijańskiego, ale też pełno wyrażeń niejasnych, dziwacznych, niezrozumiałych, twardych, chromających, jak np. w wierszach (na str. 624, w przypowieści Quidam):

„Ten i ów rodzi się — a bywa:
Ci duchem — tamci zbliżeni są kością,
A tamci głosu dźwiękiem — a ci mieniem,
A owi jeszcze głębszą wzajemnością
Bytów i onych spowinowaceniem.
Zastępy z tego ciągle sprawowane,
Że urastają w to, co Grek nazywa
Dramą, — prawdziwe rzeczy to i znane.
Lecz jest szczęśliwa rzecz, jest nieszczęśliwa“.

Podobnych wierszy możnaby przytoczyć z dzieł jego setki (kilka podamy jeszcze poniżej).

Nie brak i wyrażeń nowych, utworzonych przez samego autora i form niegramatycznych, ukutych dla rymu, jak np.:

„zbroje łetsze,
Sposobem Partów do ciała przywarte,
Wełgnione w konia zagiętem kolanem“
(str. 554) — „rzecz nieodjętę i alabastrowę“ (433)
„oś wbitę“ (555).

Gdzieindziej nadaje wyrazowi: „pora“ (w przypisku) znaczenie: „materya“:

„Ta zaś (sc. jednomyślność) nie tam
jest, ani tam być może,
Gdzie będą ciała dwa o jednej duszy,
Lecz gdzie dwie dusze o tej samej porze“. (Str. 427).

Nie można się więc dziwić, że nie tylko czytelnicy zwyczajni, ale też obdarzeni wyższą inteligencyą nie potrafią aż na zbyt często zrozumieć tego poety, że redakcye czasopism nie chciały wielu jego utworów przyjmować i że te, które za życia jego ogłoszono, spotkały się z krytyką nieprzychyl-

---

[1]) P. Tom. A. str. 1048 n. (przyp. wydawcy).
[2]) Ib. str. 254.

ną. Tak np. pisał o nim Władysław Bentkowski [1]), co następuje: „Miałem w tych dniach w ręku nowy wiersz kochanego Norwida naszego, o którym już prawdziwie nie wiem, czy jest malarzem, rzeźbiarzem, czy poetą, czy też może artystą oderwanym od wszelkiej skończonej formy, w tym ostatnim przypadku żałowałbym serdecznie straconego dla narodu i sztuki natchnienia, bo największy geniusz, skoro nie podbije sobie jakiejś formy, w którąby mógł ciągle się wcielać, obcuje sam z sobą w duchu, a dla świata jest niewidomy. Wiersz ten nosi nazwę: „Jeszcze słowo“. Przyznam ci się, że tak jak Wigilie Norwida, podobnież i owo Słowo jakąś mają manierowaną niejasność myśli, obrazów i wyrazów, która dziś wprawdzie jest modą, a nawet zarazą w literaturze naszej poza krajem się rozwijającej, ale która w żaden sposób do smaku przypaść mi nie może. Naturalnie jest to moje osobiste uczucie; nie wątpię, że się znajdzie wybrane grono subtelnych smaków i w zachwyceniu mistycznem żyjących duchów, co zrozumie odrazu sercem i głową słowa poety; mnie się nie chce ślęczyć nad niemi jak nad talmudem“ etc.

Inny krytyk (bezimienny) pisał w „Przeglądzie Poznańskim“ [2]): „Mgła po całym horyzoncie poetycznym Norwida rozprowadzona, zawiłość mowy, jaka w jego utworach uderza i ta nużąca gra wyrazów, w której sobie zdawna upodobał, jak zwykle tak i teraz nie pozwalają nam całego ciągu myśli jego schwycić, pobratać się z jego natchnieniem; odgadujemy tylko i przeczuwamy, że szlachetna gorliwość, by zwrócić ludzi na czyste niwy miłości, także tęskne do ojczyzny przywiązanie pieśni mu z ust wyrywa i do śpiesznego puszczenia ich w świat nagli... Im Norwid dalej na polu zwłaszcza poezyi pracuje, tem myśl jego staje się niepewniejsza, forma bardziej zaniedbana, bardziej kapryśna, manieryzm uporniejszy“ i t. d.

Krasiński zaś pisze (25 lutego 1851) w liście do Stanisława Koźmiana [3]) o poematach Norwida: „Ja pierwszy prawie nigdy nic nie rozumiem, — a jeśli co rozumiem, to krwawą pracą. Takiej zaś poezya nie dozwala! Dobrze Heglowi tak Logikę pisać“.

---

[1]) W „Gazecie Polskiej“. Poznań 1849, 6 maja, Nr. 104, przyt. w Przypisach Przesmyckiego na str. 787 n.

[2]) T. X. 1850, str. 217 nn. — przyt. w Przypisach str. 793 n.

[3]) Ogłoszonym w „Pamiętniku Literackim“ z r. 1911, zesz. II. i III. str. 375.

Do próbek wyżej podanych dołączamy jeszcze kilka. Któż n. n. potrafi nam wyjaśnić wiersze następujące:

„Mnie zostanie,
Jak z wizerunkiem twym, zostać z osobą,
Której odbyło się w przyszłość skonanie, —
Gdy ty siedm skrzydeł uniesiesz odemnie". (Str. 625.)
„Jam cię nauczył tylko abecadła
I wiesz, jak która wzrosła treść lub padła". (627).
„I rękę kładąc uczniowi na czoło,
Które do kolan biegło jakby wagą" itd. (629)
„Wąż w ptaka plwał się wyrzucając ślinę,
Tej skrzydła w szatę nikłą, szata mężem
Brzmieje — mąż na hełm wytryska liściami,
Których kwiat tarczą, a pręty orężem,
A pąki iskier tlejących gwiazdami". (635)
„A skoro mylę się, mylę trudami". (637)
„To, co i Plato, w ciche kiedyś niebo
Przez liście laurów patrząc, czuł potrzebą
I słyszał — pojąć zdołał — dać nie umiał,
Wysłowić nieraz mniej, niż sam się zdumiał!" (639)
„Chwile, co dają nieśmiertelność tchnieniem,
Uobecniając treści niedotkliwe,
A niepokoją wewnętrznie sumieniem,
Szepcąc, że nikłe są, że nad-prawdziwe — —
Więc takie — wina popiwszy kielichem,
Godzisz się wreszcie z myślą, żeś jest lichym, —
Nie, iżbyś szukał zniżenia się w zwierzę, .
Lecz że, nie będąc duchem, twierdzisz „wierzę!"
A twierdząc, konasz rozumem doczesnym,
Stając się wiecznym, ileś nad-spółczesnym". (691)

W „Przypisach" Przesmyckiego szukamy napróżno jakiegoś komentarza, którego ustępy te i tym podobne wymagają koniecznie, jeżeli czytelnik ma m śl poety pochwycić.

Sam Norwid próbował odeprzeć zarzut niejasności, ale czynił to w sposób, nie przemawiający nam wcale do przekonania. Tak bowiem pisze w utworze swoim p. n. „Rzecz o wolności słowa" (Paryż 1869):

„autor i Wulgarizator
Siły dwie, dwa kierunki...
...Jeden głównie kierunek, żeby jak najskorzej
Oświecić masy - tanio jak można, choć gorzej...
Choćby zrubasznić prawdę, lecz uczynić wziętą,
Zniżyć o sto, to będzie sto więcej pojętą!
Zniżona tak, zaczerpnie namiętności kału,
Potem się wyprze ojca swego... ideału!
Lecz szeroką się zrobi jak pożar, a ilu
Pojrzy na łunę, rzeknie: co za jasność stylu!"

A więc zarzut niejasności ma być niesłuszny, bo poeta nie jest „wulgarizatorem", on nie pisze dla mas, on nie chce „zrubasznić" prawd głoszonych, ani podsycać namiętności

tłumów! Nikt nie żąda od poety, żeby każdy jego utwór był zrozumiały także dla czytelników całkiem nie wykształconych, — ale kto pisze tak, że nawet Krasiński go nie rozumie, ten chyba mija się ze swoim celem i nie ma prawa skarżyć się, jeżeli prawie nikt nie chce męczyć się lekturą jego płodów.

Szczególnie nużące są utwory Norwida większych rozmiarów, bo za mało w nich życia, działania i ruchu, za mało przemawiają do wyobraźni i uczucia, a za dużo miejsca poświęca w nich autor suchym abstrakcyom i refleksyom. I tak pracował on przez kilka lat nad swoim poematem p. n „Quidam“, który zajmuje w tomie A stron 530—703 i ma być obrazem rozpadającej się w gruzy — za czasów Hadryana — cywilizacyi „izraelskiej - greckiej - rzymskiej“. Jak się dowiadujemy z przedmowy, czytał ten utwór Zygmunt Krasiński i zwrócił uwagę Norwida na pewne słabe strony jego „przypowieści“. Przedmowa zawiera odpowiedź na te zarzuty. O ile z niej można się domyślić, Krasiński wytykał poematowi, że niema w nim „węzła dramatycznego“. Na to odpowiada autor: „Uważałeś zapewne, że dziełu temu dałem nazwę przypowieści, nie zaś powieści, a to z przyczyny, że intrygi i węzła dramatycznego, właściwego powieściom, wielce się tu wystrzegałem — nie o to mi szło, ale właśnie że o to raczej głównie, co zazwyczaj tylko pobocznie z właściwych powieści wyciągamy. — Dlatego to i bohater jest tylko ktoś — jakiś tam człowiek — quidam! Nic on nie działa, szuka tylko i pragnie dobra i prawdy, to jest, jak to mówią, nic właściwie nie robi — cierpi wiele, a zabity jest prawie że przypadkiem i to w jatkach! — Jest tam i drugi Quidam, któremu to nazwisko przeszło było w imię własne, ale i ten jest tylko jakiś ogrodnik, jeden z miliona chrześcian! Żali to jest tragiczne? pozwalam ci wątpić, wielki poeto!“ Krasiński nie widział w tem zapewne tragizmu — i miał słuszność; pierwszy Quidam nie ginie dobrowolnie, — w obronie jakiejś idei; — on wogóle nie działa, tylko, poszukując prawdy, staje się sceptykiem, przestaje wierzyć w bogów pogańskich, ale nie przyjmuje religii Chrystusowej. Drugi zaś Quidam, ów ogrodnik, jest postacią epizodyczną i bladą, która nie daje też czytelnikowi dobrego wyobrażenia o męczennikach chrześcijańskich.

Blade są również inne figury ważniejsze „przypowieści“: filozof grecki Arthemidor, poetka Zofia z Knidos, Mag uczony, mistrz Jazon, Żyd, Gramatyk rzymski. Osoby te, wśród których znalazł się żądny mądrości „młodzieniec z Epiru“

(Quidam), nie roztaczają przed nim w rozmowach swoich żadnego obrazu wiedzy ówczesnej; — natomiast nagromadził tu autor aż nadto wiele szczegółów archeologicznych, opisując sprzęty, ubiory i t. p.

Jest tu dalej mowa o powstaniu Żydów, oburzonych za zbezczeszczenie jerozolimskich ruin przez cesarza Hadryana, ale nie widzimy żadnego momentu z tych krwawych zapasów; dowiadujemy się tylko z opowiadania pewnego posłańca, który przybywa do Jazona, że uczeń jego Barchob (ma to być wódz Żydów „Syn Gwiazdy“ Barkocheb) walczy dzielnie na czele konnicy Machabejskiej. Wogóle trzeba zarzucić poematowi temu brak plastyki, brak żywej akcyi i treści zajmującej. Słusznie też krytykuje go Krechowiecki w przytoczonej już książce swojej (t. I. str. 96—126), który też pisze dobrze (na str. 99): „Pewien pogląd krytyczny stał się już obecnie poniekąd obowiązkiem wobec bardzo niekrytycznych ogólników i pełnych zachwytu superlatywów, które byłyby zresztą niewinnym wyrazem indywidualnych upodobań, gdyby nie ta ich szkodliwa strona, że przyczyniają się do zamącenia pojęć wśród ogółu i przeszkadzają wytworzeniu się prawdziwej opinii. Wypłynęło to niezawodnie z szlachetnej intencyi wynagrodzenia „zapomnianemu“ poecie krzywdy tego zapomnienia — ale zbyt daleko w tym kierunku idąc, dochodzi się już do owej bezpodstawnej „adoracyi“, którą sam Norwid potępiał“. Na to odpowiada p. Przesmycki całkiem krótko, nie wdając się w żadną argumentacyę (w swoich „Przypisach“ na str. 1075): „Oceny do dziś Quidam się nie doczekał. „Pogląd krytyczny“ p. A. Krechowieckiego (w „próbie charakterystyki“ C. Norwida) jest zbiorem dyletanckich „indywidualnych n i e u p o d o b a ń“, które od krytyki istotnej bardzo są dalekie“. Nam jednak wydaje się rzeczą oczywistą, że zdanie Krechowieckiego jest uzasadnione, że nie jest tylko wyrazem „indywidualnych nieupodobań“ i że słusznie zarzucił on p. Przesmyckiemu „bezpodstawną adoracyę zapomnianego poety“.

Trafną jest także n. zd. ocena w książce tej innych dzieł Norwida, o których tu nie piszemy, żeby nie przedłużać zanadto naszego artykułu. *X. P.*

Egzorta o stosunku do kolegów.

Przemożnie owładać musiała sercami nauka P. Jezusa, głoszącego miłosierdzie, przebaczenie dla grzesznika. Za jednym zamachem musiał być podbitym i rozkochanym w mowie Jezusa Żyd, gdy się przysłuchiwał takim przypowieściom jak o synie marnotrawnym, o pasterzu, szukającym zaginionej owcy, o pszenicy i kąkolu. Świat dotąd czegoś podobnego nie słyszał. Owa niewiasta, wiodąca gorszące życie, która wchodzi do domu faryzeusza Szymona i namaszcza obecnego tam Jezusa a On to przyjmuje ku zgorszeniu gospodarza domu, owa żona wiarołomna, prowadzona na ukamienowanie, przez Jezusa wyrwana śmierci, — toż to obrazy zupełnie nieznane staremu światu. One wywracały dotychczasowe zapatrywania, nowym uczuciom torowały drogę, nowe dziedziny ducha odkrywały, podwaliny kładły pod nowe królestwo. Tylko faryzeusze, owi zeloci prawa i podań narodowych z niechęcią musieli słuchać tych przypowieści, lekceważyć sobie takie Królestwo, do któregoby oni — sprawiedliwi, tyle razy na dzień modlący się i myjący ręce, należeć mieli razem z grzesznikami. Równolegle jednak z tem używa P. Jezus słów najsurowszych, gróźb najstraszniejszych na tych, którzy grzeszą i nie chcą się poprawić. Lżej będzie w dzień sądu mieszkańcom Sodomy, Niniwy, Tyru niż synom Abrahama. Sługę nieużytecznego do ciemnicy wrzucą. Kąkol oddzielą od pszenicy i spalą. Między Jezusem a złem, w jakiejkolwiek ono postaci występuje, przepaść leży nieskończona. Pozorna sprzeczność, ale trudna do rozwiązania tylko dla serca ludzkiego, które żywiej nienawidzi złego człowieka niż występy, z większem uczuciem zwraca się do człowieka cnotliwego niż do cnoty.

Dzielą się ludzie na różne religje, narody, partje, stowarzyszenia, koła. Kochać swoje nie rzadko znaczy u nich tyle, co nienawidzieć obce. Jedni gorszą się, gdy słyszą, że Kościół grozi karami za złe życie, — inni znów z wielką ulgą patrzyliby na doraźny sąd Boga nad występnym człowiekiem. Żyją na ziemi dobrzy ze złymi pomieszani, pod jednym dachem, w tej samej nieraz ławie siedzą. Czasem zboże, czasem chwast przeważa. Pstra też nieraz pod tym względem i klasa szkolna i tak wyrazista, że się ma obawę, by jednego dnia po wejściu do klasy nie przekonać się, że już nie utrzymało się nic jeno kąkol. Jak się ma zatem

uczeń zachować wobec tej pstrokacizny moralnej swych kolegów?

Gdybyście kiedy byli obecni przy tem, gdy rodzice wasi u profesorów wywiadują się o waszem zachowaniu, nauce, zauważylibyście nieraz łzy w oczach matki, spochmurniałą i zatroskaną twarz ojca, skarżącego się czasem temi słowami: „Dobry był dotąd, ale skoro wszedł w towarzystgw złych kolegów, zupełnie się zmienił. Nie zważa ani na roośbę, ani na prośbę moją!" I ze zwieszoną głową wychodzi ojciec smutny ze sali, z lękiem w sercu o przyszłość swego dziecka. Ale bylibyście świadkami i innyah scen. Przychodzi raz do mnie jedna z matek i pyta o swego syna. Ponieważ przez szereg lat zwykle było jak najgorzej, więc i wtedy przystąpiła z pewną obawą i nieśmiałością. Zapytany przez nią odpowiadam: „Zachowuje się i uczy bardzo dobrze". Po tej odpowiedzi odeszła parę kroków, ale znowu wróciła i zapytała mię: „Może się przesłyszałam i źle zrozumiałam słowa księdza?" Powtórzyłem jej zatem me zdanie o jej synu jeszcże raz. Oddaliła się znowu, ale przecie zawróciła i trzeci raz zbliżywszy się do mnie, rzekła: „Przepraszam, może się ksiądz przesłyszał, albo pomylił, ja pytam o mego syna". Tu wymieniła nazwisko. Gdy wreszcie przekonała się, że to ani jej złudzenie, ani moja pomyłka nie była, wówczas cała drżąca od szczęścia, odezwała się: „Może ksiądz ani nie przeczuwa, jaką mi radość sprawił!" Zapytana przeze mnie, czy sama nie zauważyła zmiany u syna, czy nie odgaduje, co mogło na niego wpłynąć, oświadczyła mi, że pewnie to będzie wpływ jego kolegi, z którym się zaprzyjaźnił od pewnego czasu. „Ale ja się bałam", dodała „żeby go mój syn nie popsuł. Zawsze to łatwiej popsuć niż naprawić!" I wychodziła ze sali rozradowana, rozpromieniona, marząca o pięknej przyszłości swego dziecka.

Jak widzicie, nie jest to drobnostką, jakiego się ma kolegę. Niejeden z was odnalazłby w sobie ślady, jakie zostawił tam wpływ dobrego lub złego kolegi. Owszem oddziaływanie to, chociażby i dobre, nieraz tak doniosłe jest w swych skutkach, że stanowi czasem o całym kierunku życia. Mądrość życiowa ułożyła owo przysłowie: „z jakim się wdajesz, takim się stajesz". Szczęśliwy ten, kto znalazł na ziemi przyjaciela prawdziwego z duszą dobrą, jasną, uwolnioną od miłości własnej. Niewielu dotąd widział świat przyjaciół, bo nie wielu było takich, którzy tak żyli ze soba, że zdawało się, jakoby pomieniali się ze sobą na dusze. Na

tę przyjaźń wielką, podobnie ja na samotność, nie każdego stać człowieka. Wielu zadawala się, zdawkową monetą płacąc sobie wzajemnie. Wystarczy im kolega, dobry znajomy, stary druh, długoletni towarzysz pracy i zabawy. Jakąkolwiek nazwę dacie temu stosunkowi przyjaźnemu, zastanówcie się jednak zawsze, kto waszych planów, waszych snów duch bratni? W tego prawicę złóżcie waszą dłoń z ufnością, kto z prawdą i szczerością staje obok was. Z tym złączcie życia swego znój, sprzymierzcie się na dolę i niedolę, kto z prawdą i szczerością staje obok was. Z tym złączcie życia swego znój, sprzymierzcie się na dolę i niedolę, kto wam swą czystą duszą będzie za zwierciadło, za płomienie ognia i za jasność słońca. A jeśli znaleźć nie możecie pokrewnego ducha, niech przekonaniem waszem i marzeniem będzie, że tam, gdzie błyszczy wiary i zapału znak, zdolność do ofiar, gdzie materja za łachman a duch za króla uchodzi, że tam są wasi przyjaciele rodzeni, siedzący na wyniosłych szczytach, trwający przez wieki.

Ale siedzi twój kolega obok, ramię przy ramieniu, o którym wiesz, że zepsuty moralnie, kłamiący i oszukujący, lekceważący sobie wszystkich i wszystko. Jak się wobec niego zachować? Przedewszystkiem jako bliźnie go masz miłować. Powtarzam z naciskiem: masz miłować. Ci, którzy siebie za nadto kochają a dla drugich mają za ciasne serca, wymyślili nazwę: „t o l e r a n c j a“, jako wykwit postępu. To znaczy, że cierpią, niechętnie znoszą obok siebie bliźniego, któ regoby jednak z przyjemnością odrzucili od siebie, gdyby mogli. Przypomina ta nazwa zatem jeszcze dość nieokrzesane stosunki ludzkie. Tolerancją świat się rządzi, to też patrzymy na deptanie praw ludzkich, na wężową zjadliwość w walce. Ta tolerancja musi być cała żółcią przepojona, kiedy często prosta wymiana przeciwnych zdań w dzienniku, na zgromadzeniach, w sejmach tak niemiłosiernie prostacka, zawiścią tchnąca. Kościół tego wyrazu nie może umieścić w swym słowniku zamiast przykazania: „Kochaj bliźniego jak siebie samego“! Kościół za Jezusem zawsze nauczał, że nie tolerować, ale kochać trzeba bliźniego, czy to Żyd, czy Grek, czy Rzymianin. Ileż razy Jezus uzdrowił chorego i odesłał do domu słowami: „Idź a nie grzesz więcej!“ I prawdziwy wyznawca Jezusowej nauki nie odwróci się z pogardą od człowieka występnego, ale ma go za brata biednego, który właśnie więcej niż każdy inny potrzebuje pomocy. Przywiozą do szpitala zastarzałego w grzechach chorego, z obrzydliwemi, cuchnącemi ranami na ciele i duszy, a siostra miło-

sierdzia swą dobrocią i miłością przełamie jego uprzedzenia i nie rozprawiając z nim o religji, przemienia go w wierzącego pokutnika. A gdyby bliźni jeszcze bardziej się miotał i szalał na widok cnoty, katolik nie odpłaci się nienawiścią, ale sięgnie do lepszej broni, bo do modlitwy. Choćby wkońcu umarł bliźni w występkach, to chrześcijanin zostawia sąd Bogu, równocześnie prosząc nie o karę, ale o miłosierdzie dla zbłąkanego brata.

Miłować bliźniego nie jest jednak równoznaczne z pokrywaniem jego błędów, pochwalaniem jego występków. Wyrodne to dziecko, które obojętnie i ze śmiechem słucha obelg i wyzwisk, rzucanych na ojca. Bezbożny sam ten, kto obojętnie i ze śmiechem przechodzi obok ciężkiej obrazy P. Boga Dziećmi Boga jesteście, a zatem jesteście naturalnymi obrońcami tego wszystkiego, co boskie. Obowiązkiem więc waszym przeciwstawić się i zwalczać zły wpływ kolegi w klasie. Przyszedł nowy uczeń z innego miasta, innej szkoły i zaczęły się w klasie dziwne dziać rzeczy. Jakieś rozmowy i żarty dwuznaczne, częste opuszczanie godzin, nieodpowiednie zachowanie się wobec nauczyciela, zaniedbywanie się w nauce, słowem, jakiś zły duch wtargnął do klasy i ją opanował. Jeden, dwóch zdołało się ostać, reszta uległa. Na miły Bóg, gdzie przysłowiowy, młodzieńczy zapał, gdzie odwaga i śmiałość młodego wieku? Chełpił się niejeden oryginalnością swą, przekonaniem swojem, a tymczasem jak baran bezmyślnie poszedł za przykładem innych. Ważycie słowa tych. którzy was do dobrego, uczciwego życia zachęcają, na wadze niezmiernie czułej; rozbieracie na miligramy, atomy ich zdania i myśli. Jeśli chcecie rozumnie postępować, to ważcież tak samo i rozbierajcie zdania i myśli tych, którzy was w błoto ciągną.

A jeśliś, widząc, że na bezdroża cię wiodą, wstrzymał krok, gdy widzisz drugich na ślepo idących, podaj im swą dłoń, by ich zawrócić. Nie dość siebie uchronić, trzeba drugich ratować, przeciwstawiając złemu życiu kolegi swoje dobre życie. Nie wstydzi się on złego, ty się nie wstydź tem bardziej dobrego postępowania. Walcz z nim nie słowami, ale czynami dobremi. On odmawia pacierz z lekceważeniem, ty mów z powagą, on się nie uczy, ty zawsze bądź przygotowany, on krnąbrny i zuchwały, ty chętnie przyjmujący rady i uwagi, on nieskromny, ty czysty i niewinny. Prawią jedni drugim nauki, kazania i skarżą się, że mimo to nie widzą poprawy; wskazują na przykłady, niestety na dawne,

martwe. Zapomnieli, że wtedy odniosą ich słowa skutek, gdy będą mogli za apostołem powiedzieć: „Naśladowcami moimi bądźcie bracia. (Filip. 3, 17). Bronią ucznia Jezusowego niezawodną w walce ze złem jest jego własne dobre życie. Sam się tą bronią osłoni, drugich wyratuje, samego przeciwnika zniewoli do poddania się.

Po nad wszystko jednak strzeżcie starannie swych skarbów duchowych, moralnych, boskich i ludzkich przed utratą w zetknięciu się ze zepsutym kolegą. Nic łatwiejszego pod słońcem, jak je utracić. Do ziemi człowiek ciągnie i tak, bezwiednie prawie, z trudem się od niej odrywa. Nic też dziwnego, że choć widzi piękności wyższe, zacności duchowe, czyny szlachetne, choć je uwielbia, przecież idzie do nich z pewnem przygnębieniem, krokiem żółwia. Musi się duchowo wysilać, trudzić dla tych rzeczy. Do rzeczy zaś ziemskich, zmysłowych z uśmiechem się zwraca; pędzi do nich na skrzydłach ptaka, bo mu to przychodzi z całą łatwością. Dlatego też nic łatwiejszego jak zlecieć z nieba na ziemię, zachwiać się w wierze, stracić łaskę, wstyd, cnotę. Niejeden z was zna swą słabość. Wie, ile trudu go kosztuje, by nikłą pokusę zwalczyć. W oczach drugich stara się o to, by uchodzić za silnego i stałego, w swoich własnych widzi się słabem, kapryśnem dzieckiem. Czyż może się zatem na większe niebezpieczeństwo narazić, jak wtedy, gdy się z całem wylaniem i bezbronną serdecznością wydaje w ręce i opiekę człowieka złego, często przewrotnego, a czasem aż człowieka-szatana? Nie tylko nie podawaj twej dłoni i ramienia złemu koledze na wspólną drogę, ale na przeciwną wejdź ścieżkę, w przeciwnym idź kierunku od niego. Nie oglądaj się za siebie, byś nie uległ czarowi ziemskiej przynęty. Zasłoń uszy, by śmiech i urągania nie zachwiały tobą. Choćbyś sam został, powiedz sobie: chcę i muszę być dobrym. Nie dam się zepchnąć z drogi prawej. Wytrwałością osiągniesz zwycięstwo. P. Jezus, tłumacząc przypowieść o pszenicy i kąkolu, zakończył słowami: „Wtedy to sprawiedliwi zajaśnieją jako słońce w królestwie Ojca swego“ (Mat. 13, 43). Ilu was obecnie słucha mych słów, oby i tyle kiedyś słońc zajaśniało w królestwie Bożem, gdy do niego przyjdziecie! Amen.

X. P. Nowak.

Egzorta o obowiązku.

Na cześć różnych potęg ludzie stawiali i stawiają ołtarze, spiewają i spiewali hymny. Oto kroczy przez forum Cezar ogromny, wspaniały w majestacie siły i mocy. Pod jego wielkością zdają się uginać schody świątyń, do których wstępuje. Jego imię tytułem władców przez lat tysiące. — W sali z przepychem przybranej grono wykwintnych Greków zaległo u stołu biesiadniczego. Z wieńcami na głowach, w miękkich tkaninach, wśród posągów z białego marmuru, stojących w sali, sami, jak posągi, piękni, wytworni, świetni. Zapach kwiatów, woń pachnideł, dźwięk muzyki, rytmiczne pląsy tancerek, a w przerwach pierwszy mędrzec grecki z przyjaciółmi rozprawia z lekką swobodą o zawiłych zagadnieniach życia ludzkiego. — Na bezbrzeżnych pustyniach stanął nieruchomo tajemniczy duch wschodu a wsparłszy się na zamglonych szczytach wiecznych Himalaji w przestworza zagadki bytu się zanurzył. Innemi słowy: byli i są na ziemi tacy, którzy wskazują na potężne pięści i mówią: to wszystko, inni na głowę i mówią: to wszystko, inni na serce i mówią: „to wszystko"; a są i tacy, którzy wskazują na kieszeń pełną, na młot czy łopatę, na rachunek kupiecki, na szkołę, teatr, kieliszek i mówią: „to wszystko". Rozejrzyjcie się i przypatrzcie ludziom, a przyznacie, że tak jest. Bardzo rzadko zaś słyszy się, jeszcze mniej widzi w życiu ludzkiem przeprowadzoną zasadę, że najwłaściwiej może o **obowiązku** jednym możnaby powiedzieć: „to wszystko"!

Dlaczego? Bo przy wszystkiem innem można człowiekowi coś wytknąć. Wobec jedynej obowiązkowości jego musi zamilknąć choćby i największy przeciwnik. Czyż można mu bowiem zarzucić, że tego lub owego nie wykonał, gdy on wszystko, co do niego należało, co był powinien, wiernie spełnił? Przytem w jednych rzeczach człowiek widzi przyjemność i zadowolenie, to też chętnie się o nie ubiega. Czyście spotkali w życiu takich, którzyby niechętnie, z przymusem szli po bogactwo, sławę, władzę, godności? Moje oczy takich nie widziały. Byli tacy, którzy zdawali się takiemi rzeczami pogardzać, ale byli to albo obłudnicy, albo, choć szczerze, jednak z przymusem i z przykrością odrywali swe serca od tych dóbr. Na biesiady duchowe czy zmysłowe mrowia ludzi biegną w zawody. Do innych rzeczy człowiek z natury swej jest podatny, uzdolniony. Nic też dziwnego, że chętnie chwyta za pióro, czy szablę, pług, pędzel, miarę kupiecką. Przez ćwiczenie dochodzi do niezwykłej biegłości. Podziwiając go,

nie tyle jego zwycięstwo i tryumf wynosimy, ile raczej jego uzdolnienie, talent, geniusz. Człowiek zaś obowiązku ani nie urodził się z tym przymiotem swoim, ani też usposobienia z natury do tego skłonnego nie miał. Przeciwnie, czuł odrazę i wstręt początkowo do obowiązku. By zasłużyć więc sobie na miano człowieka obowiązku, musiał związać swą namiętność żywiołową, opanować niekiełzaną samowolę, a co najtrudniejsze, zmódz właściwą każdemu niemoc, ołowiem ciężącą ku wygodzie i bezczynności. Czyż zatem nie promienieje od niego to, co jest tylko człowiekowi właściwe, do czego nie może się wznieść żadne inne stworzenie? Komu w pełniejszej mierze przystoi, by powiedział o sobie: człowiekiem jestem? Rozumieją to ludzie, że wszystko, czem on jest duchowo i co ma, to zdobyte jego i tylko jego pracą i to pracą najprzykrzejszą, najczystszą i najbardziej ofiarną. Gdzie zatem pokaże się człowiek obowiązku, zdobywa zaufanie; wszystkich oczy na niego zwrócone jak na wyrocznię. Serca na jego widok krzepią się, myśli prostują. Każdy w nim wyczuwa szermierza doświadczonego, nieugiętego w walce życiowej żołnierza, człowieka trudu, znoju i zaparcia się. Każdy przekonany, że tam, gdzie inny się cofnie czy ulegnie pokusie, ten stanie niewzruszony, a że swej woli zmienić nie może, raczej świat nagnie do swej woli lub życie swe odda, a od swego obowiązku nie odstąpi. Gną się ludzie pod przemocą fizyczną, kłaniają bogaczowi, gonią za uciechą, ale przed siłą ducha, o którą człowiek oparty spełnia obowiązek, przed tym królem-duchem, gdy go kiedy w życiu spotkają, stają w milczeniu, w zachwycie. Królewskość jego onieśmiela ich, zawstydza i upokarza.

Co czynić, by stać się człowiekiem obowiązku? Jak wszystko, tak i ta cnota wymaga kształcenia, ćwiczenia. Od rzeczy najprostszych, najłatwiejszych zaczyna, by mogła najtrudniejszym podołać. Drobne na pozór wasze obowiązki, jak ono ziarenko gorczyczne, w oczach niejednego z was może błahe i śmieszne, w rzeczywistości jednak są one ogromnej wagi dla urobienia w sobie i rozwinięcia poczucia obowiązku. Np. obowiązek ucznia, by sam się starał przetłumaczyć ustęp w obcej mu mowie napisany, a nie posługiwał się tłumaczeniem gotowem. Drobny na pozór obowiązek, dla niejednego ucznia wprost niedorzeczny. Po co mam siedzieć nad tekstem godzinę i do tego fałszywie go zrozumieć, gdy mogę się z nim załatwić przy pomocy tłumaczenia za 5 minut? Lepiej czas na coś przyjemniejszego użyć. Proste i jasne rozumowanie, przynoszące wprawdzie chwilową korzyść, ale

równocześnie wyrządzające olbrzymie szkody. Cóż bowiem dziwnego, jeżeli ten uczeń później jako akademik rozumuje: po co mam słuchać wykładów, uczyć się systematycznie, gdy mi wystarczy przed egzaminem samym przez kilka tygodni posiedzieć nad książką? Lepiej czas na coś przyjemniejszego użyć. Cóż naturalniejszego, jeśli ten akademik później jako urzędnik uważa swą pracę za pętlicę na szyi, która go dusi, za jarzmo, które zrzuca przy każdej sposobności. Po co mam się męczyć, rozumuje, za taką czy owaką pracę jednaką dostanę pensję na pierwszego. „Pasożyt, dormozjad" mówimy, patrząc na niego. — Innym obowiązkiem ucznia jest, by pilnie uczęszczał do szkoły, a nieobecność w klasie usprawiedliwił. I znów jakąż drobnostką wydaje się ta powinność! Z błahego powodu a czasem i bez powodu opuszcza niej den godziny. A usprawiedliwienie? Cóż łatwiejszego, jak podać jakąś zmyśloną przyczynę? „Przecież nie mogę prawdy powiedzieć, bo sobie zaszkodzę" usprawiedliwia się. Może nawet nie przeczuwa, jak fałszywie wnioskuje, jak zwodniczego przewodnika życia obiera sobie. Zwodzi i oszukuje na ławie szkolnej. cóż dziwnego, że czyni to samo później w życiu? Cóż dziwnego, że zwodzą go i oszukują drudzy? A tak tworzy się zdradliwe koło pozy, nieszczerości, obłudy ogólnej. Dochodzi niejeden w późniejszem życiu do tego, że nikomu i niczemu nie wierzy, najlepsze zamiary i wysiłki drugiego źle tłumaczy, podejrzywa o samolubne cele. Własne czyny, choćby i najgorsze, umie usprawiedliwić i przystroić w jak najpiękniejsze barwy. Przypomina kota, który spadając z góry, zawsze na nogi upada, któremu, gdy zajrzysz w oczy, odwróci głowę zmieszany, a gdy go podrażnisz, w kłąbek się zegnie i złowrogo zacznie parskać. Zestarzał się ten człowiek, posiwiał, umarł w przekonaniu, że się rozumem kierował, gdy tymczasem on jęczał pod tyranią opinji ludzkiej. On drżał przed prawdą, krył się przed nią, jak sowa przed słońcem. Gdyby on się był w życiu tak P. Boga bał, jak się ludzi bał! „Marny, lichy człowiek!" — mówimy, patrząc na niego.

Za nic sobie miał jeden i drugi swe obowiązki niepozorne, maleńkie z lat młodych, stąd też one rany w duszy ludzkiej, spustoszenie w społeczeństwie. Marne i drobne wydają się wam wasze obowiązki a jednak tylko przez wierne ich spełnianie stać się możecie ludźmi obowiązku. Najmniejszy nawet, zlekceważony i zaniedbany, mszcząc się na człowieku, okrutny odwet bierze w późniejszem życiu. A więc nie pytać się: „dlaczego mi to nakazano?" Dość, że naka-

zano. Może chodzi nieraz głównie o to, byście umieli panować nad sobą, łamać swą wolę. Jest to ćwiczenie moralne, którego najdrobniejsze ruchy wyrabiają wewnętrzny hart, dają tężyznę, moc; wiernie spełniane przechodzą w krew i kości człowieka tak, że niema na świecie siły, któraby odwiodła go od jego powinności. Małe na pozór wasze obowiązki, ale tylko takimi się wydają. W rzeczywistości bowiem wierne spełnianie obowiązku, choćby najdrobniejszego, to rzecz nielada. Rzecz to tak uciążliwa i przygniatająca swą monotonnością, bezbarwnością, ciągłą, nieustanną czujnością i napięciem, że niejedna głowa posiwiała a nie zdołała jej sobie przyswoić. Rzecz to rzadka, jednak bez niej nigdzie nic trwałego nie dokonano. Sami najlepiej wiecie z własnego doświadczenia, jaka chmura wrogów nieubłaganych, zewnętrznych i wewnętrznych, staje z wami do walki wówczas, gdy chcecie być wiernymi swym obowiązkom wobec Boga, siebie i bliźniego.

Przecież podjąć walkę jest koniecznością dla każdego człowieka, bo życie jego jest niczem więcej jak zmaganiem się różnych sił, wrogich obowiązkowi. Czegoż innego uczył Boski Zbawiciel, jeśli nie tej walki ciągłej o utrzymanie się w obowiązku, walki bez wytchnienia, bezwzględnej, gwałtownej. „Gwałtownicy zdobędą królestwo niebieskie", zapowiedział. Sługę pracowitego nad wieloma chce przełożyć. Owszem każe usiąść wiernemu słudze do stołu a sam się przepasuje i służy mu. Błogosławionymi nazywa tych, którzy cierpią dlatego, płaczą, od drugich znoszą szyderstwa i prześladowania z powodu wierności obowiązkom swego życia. Błogosławieni ci, którzy w walce tak rozgorzeli, tak się przejęli tą pracą, powinnością, urobieniem całej swej natury, że łakną i pragną wypełnienia należytego swego zadania życiowego. Słowem, od wypełnienia przez człowieka jego wszystkich obowiązków uzależnił Zbawiciel przyjęcie go do królestwa swego.

I ojczyzna ziemska nie czem innem stoi jeno obowiązkiem. Jeśli jednostki wyłamują się z koła, zaniedbując obowiązki, siadają bezczynnie na ziemi, wówczas koło pracujących zmniejsza się coraz bardziej, — napotykając na leżących bezwładnie, coraz powolniej i nierówniej się obraca, w końcu staje, członkowie puszczają sobie dłonie, rozprzęga się wszystko, jeden krzyk rozlega się: garnij dla siebie, kto możesz i co możesz. Winniście sobie to jasno uświadomić, że spełniając obowiązki wasze wiernie, podtrzymujecie tem samem przy życiu waszą ojczyznę. Nie spełniając zaś obo-

wiązków, odmawiacie jej źródeł ożywczych, skracacie jej życie i wkońcu sprowadzicie jej śmierć.

A zresztą, czy chcecie przez życie być przeprowadzeni, jak się zwierzę przeprowadza przez pole na powrozie? — Być jak ta sadzawka ze stojącą, zgniłą wodą? Patrzcie! toż i żółw, choć z trudem, ale wlecze się, i kwiat się rano barwą i wonią okrywa, choć wieczorem zmarnieje — i skała wchłania w siebie zimno i ciepło, choć lat tysięcy trzeba, by się przetworzyła na urodzajny namuł. Krótkie czy długie wasze życie, wielkie czy małe wasze obowiązki, gwałtowne czy lekkie wasze zmaganie się ze sobą — ale niechżeż życie wasze życiem będzie, zmaganiem się, choćby wśród ran i porażek. Spróbujcie przez cały ten tydzień spełnić wszystkie swoje obowiązki ściśle i wiernie. Zakosztujcie walki. Choćby przy ostrzeniu, gładzeniu woli chropowatej nie jedna skra ognista zaświeciła, nie jedna łza się nawet polała. Tylko bezwładnością swej woli, odrętwieniem moralnem nie ścierajcie z siebie rysów człowieczeństwa! Każde zwycięstwo przynosi radość i tryumf, ale to zwycięstwo nad wszystkimi wrogami, bo nad sobą samym, da wam pełnię szczęścia przed grobem, z grobu zaś zmartwychwstanie i nieśmiertelność u Boga. Amen.

X. Nowak.

Nowe książki.

Ign. Chrzanowski. Z epoki romantyzmu. Studya i szkice. Kraków. Czernecki. Stron 399 (bez daty).

Rozprawy te uczonego profesora uniw. Jagiel. były już drukowane w czasopismach, ale dobrze się stało, że wydano je w książce osobnej, w której są łatwiej dostępne dla szerszego koła czytelników. Pierwsza zawiera dość obszerną i ciekawą „charakterystykę romantyzmu“; w 2-ej mówi autor o tem „czem był Wirgiliusz dla Polaków po utracie niepodległości“; w 3-ej o „Pieśni wygnańca“ (Niemcewicza); — w 4-ej o „Mowie Brodzińskiego „o narodowości Polaków“; w 5-ej o „Źródłach klasycznych dwóch utworów romantycznych“ („Grażyna a Iliada“ — „Mnich“ Korzeniowskiego a „Edyp w Kolonie“); 6ą stanowi odczyt o Mickiewiczu, wygłoszony przez autora we Lwowie w r. 1916; w 7-mej porównywa Mickiewicza z Puszkinem, nawiązując do wybornej książki prof., Tretiaka „Mickiewicz i Puszkin“ i wykazując ogromną wyższość moralną naszego poety; w 8-mej przytacza „sądy estetyka niemieckiego (Volkelta) o Mickiewiczu“

w 9 ej zestawia Krasińskiego „Resurrecturis“ z „Psalmem dobrej woli“; w 10 tej mówi z głębokiem współczuciem o „Skardze skrzywdzonego poety“ (Wit Stwosz Wincentego Pola); w ostatniej porównywa „dwie książki polskie o zagadnieniach religijnych“ tj. X. Gabryla „Polską filozofię religijną w wieku XIX.“ (1913) i Zdziechowskiego „Pesymizm, romantyzm a podstawy chrześcijaństwa“.

W rozprawach tych i szkicach porusza autor w sposób żywy i zajmujący różne zagadnienia wagi pierwszorzędnej dla literatury, a po części także dla religji. Niektóre jednak twierdzenia jego zmuszają nas do odpowiedzi, tem bardziej, że autor sam raczył uwzględnić (chociaż — co prawda — w sposób nie bardzo dla nas pochlebny, ale mniejsza o to), pewne zarzuty, uczynione mu — i Zdziechowskiemu — w naszym „Miesięczniku“.

I tak zwróciliśmy w rozprawce p. n. „Nowy pogląd na istotę i zasługi kulturalne romantyzmu“ (p. Mies. Kat. i Wych. z r. 1917, str. 253 nn. i 317 nn.) uwagę na słabe strony definicji romantyzmu, którą podaje prof. Chrzanowski w słowach: „Romantyzm jest to prąd europejskiej kultury duchowej XVIII. i XIX. wieku, którego istotę stanowi walka ducha z jednostronnością oświecenia, to znaczy walka irracyonalnych pierwiastków duchowych z roszczącym sobie prawo do wszechwładztwa pierwiastkiem racyonalnym; czyli inaczej: walka o wyższość realnègo życia nad oderwaną myślą o życiu“. Powiedzieliśmy, że definicja ta ma dużo za sobą, ale też niejedno przeciw niej przemawia. Romantyzm musiał wejść w kolizję z Oświeceniem dlatego, że w nim przebudziła się poezja prawdziwa, która nie może być nigdy dziełem samego tylko rozumu, która nie ma nic wspólnego z przemądrem osądzaniem religji objawionej; ale ta walka jest czemś dla romantyzmu przypadkowem, t. zn. że on zachowałby swoje istotne znamiona, chociażby nie był walczył z Oświeceniem; — a z drugiej strony jest faktem, że niektórzy z pionierów i największych geniuszów romantyzmu, jak Goethe i Schiller (stajemy tu na stanowisku p. Chrzanowskiego, który ich zalicza także do romantyków) ulegali bardzo wpływowi Oświecenia i w wieku dojrzałym wzorowali się na klasykach starożytnych, co więcej, tłumaczyli nawet klasyków francuskich, przeciwstawiając się tem samem „indywidualizmowi“ romantycznemu.

A dalej nie mogliśmy się zgodzić na wyrażenia definicji przytoczonej: „irracyonalne pierwiastki duchowe“ i „walka o wyższość realnego życia nad oderwaną myślą o ży-

ciu". Nie była to przecież walka uczucia z **rozumem**, tylko z błędnem pojmowaniem **racjonalistycznem** świata, religji, życia, stosunku człowieka do Boga. Rozum a „racjonalizm" to rzeczy zupełnie różne. Człowiek rozumny, szukający szczerze prawdy, uznaje potrzebę wiary, nie odrzuca nauki chrześcijańskiej o Objawieniu, o możliwości cudów itd. Racjonalizm jednak nie może być sam w sobie sympatyczny żadnemu poecie, jako poecie, bo on nic nie daje uczuciu, nie zapładnia wyobraźni, nie usposabia do pracy twórczej. Dlatego romantyzm odrzucał pseudofilozofję Oświecenia i przenosił nad nią baśnie ludowe, zwracał się ku wiekom średnim i podobał sobie aż nadto w cudowności i tajemczości. O tem jednak wszystkiem niema nic w definicji prof. Chrzanowskiego.

Ośmieliliśmy się tamże zaproponować inne określenie, a mianowicie następujące: „Epoką romantyczną nazywamy nowy rozkwit poezyi w drugiej połowie XVIII. i pierwszej XIX. wieku, w której uczucie, wyobraźnia, indywidualizm, tęsknota do ideału zdobywają przewagę nad racjonalizmem Oświecenia, którą znamionuje także upodobanie w cudowności, w baśniach ludowych, a szczególnie w wyobrażeniach i właściwościach duchowych średniowiecznego społeczeństwa katolickiego". Nie jest to — naturalnie — ścisła definicja w znaczeniu właściwem, — nie uwzględnia też ona ogromnych różnic, które spostrzegamy między głównymi przedstawicielami romantyzmu, jak np. między Mickiewiczem a Słowackim, albo pomiędzy Goethem (jeżeli i tego zaliczymy do „romantyków") a Byronem lub Fryderykiem Schleglem[1]), albo między dziełami, które ci sami poeci tworzyli w różnych czasach; — ale tu może chodzić tylko o jakieś określenie **słowne**, któreby zaznaczało najważniejsze znamiona charakterystyczne epoki romantycznej, a to zadanie spełnia definicja powyższa n. zd. lepiej niż określenie p Chrzanowskiego.

Ten jednak wydał o niej **ex cathedra** — wyrok ujemny (w przypisku na str. 63—64), nazywa ją „niedołężną i ciasną", uzasadnia zaś to zapatrywanie swoje tak: „Nie mówiąc bowiem już o tem, że „tęsknota do ideału", jako dziecię uczucia i wyobraźni, nie może stać z niemi w jednym

---

[1]) Na str. 325 Mies. K. i W. opuszczono w w. 7. słowa: „lub Fryderykiem Schleglem", o którym dodajemy tamże w przypisku, że „pisarz ten został później szczerym wyznawcą religji katolickiej". Słowa te nie mogą oczywiście odnosić się do Byrona (nie mogliśmy sami dopilnować korekty owego artykułu).

szeregu jako ogniwo samodzielne, ani o tem, że umieszczanie indywidualizmu w jednym szeregu z uczuciem i wyobraźnią także nie może być poczytane za cnotę logiczną, — pytamy, co znaczy w zdaniu. „które znamionuje także upodobanie w „cudowności“ owo „także?“ przecie upodobanie w cudowności, w baśniach ludowych jest **skutkiem** przewagi uczucia i wyobraźni nad racyonalizmem oświecenia, nie zaś tylko **dodatkiem** do tej przewagi“.

Na to odpowiadamy: gdyby tęsknota do ideału i upodobanie w cudowności i baśniach były rzeczywiście „dziećmi“ uczucia i wyobraźni, w takim razie u wszystkich poetów, a nawet u wszystkich ludzi musielibyśmy je spotykać — nie tylko u romantyków, bo wszyscy są obdarzeni, chociaż w bardzo różnych dozach, uczuciem i wyobraźnią; a przecież jest wielka pod tym względem różnica między przedstawicielami romantyzmu, a poetami, należącymi do innych epok. Że zaś wymieniamy „indywidualizm“ obok uczucia i wyobraźni, to ma też swoją rację, bo są wielcy poeci, którym nikt nie odmówi uczucia i wyobraźni, a którzy nie mają nic wspólnego z indywidualizmem Byrona np. lub Słowackiego.

A dalej pisze p. Chrzanowski: „A jakby autor pogodził upodobanie „w wyobrażeniach i właściwościach duchowych średniowiecznego społeczeństwa katolickiego“, upodobanie, które poczytuje za jedną z cech znamiennych romantyzmu, z tak znamiennym dla całego jednego prądu poezyi romantycznej **buntem** przeciwko owym wyobrażeniom i właściwościom duchowym średniowiecznego społeczeństwa katolickiego?“

Na to odpowiadamy: definicja nasza nie twierdzi, że wszyscy romantycy byli wierzącymi katolikami, że niema w tej poezji żadnych przejawów „buntu“ przeciw nauce i powadze Kościoła; — chcieliśmy tylko dodać to znamię szczególnie ważne, że nawet protestanci, należący do romantyków (jak Goethe, Schiller, Tieck, Schleglowie, Novalis i tylu innych), piszą często tak, jak gdyby byli katolikami i przenoszą się chętnie w okres wieków średnich, na które ze wstrętem i pogardą spoglądał wiek „Oświecenia“.

W drugim znowu przypisku (na str. 68) odpowiada p. Chrzanowski na krytykę naszą jego poglądu na **zasługą kulturalne Oświecenia**, a w szczególności jego zdania, że „Oświeceniu zawdzięczamy wolność badań naukowych“, co następuje: „Zdaniem ks. A. P. „Kościół nigdy nie kładł tamy postępowi i badaniom naukowym“ (str. 257);

Co kto rozumie przez Kościół. Ci, którzy dowodzą, że Kościół nigdy nie krępował wolności badań naukowych, mają pospolicie, kiedy ich przycisnąć do muru, odpowiedź gotowa: „Co innego Kościół a co innego duchowieństwo.“ Prawda, ale czy ci obrońcy Kościoła nie zapominają czasem o tem, albo raczej czy chcą o tem pamiętać, że we wszystkich językach, nie tylko w polskim, przez wyraz Kościół zwyczajni czytelnicy pojmują i duchowieństwo, że więc zarzuty, czynione przez nich Kościołowi, są nie zawsze, ale zwykle, zarzutami pod adresem duchowieństwa? Metoda tego zapominania jest, przyznać trzeba, niezmiernie dla niezwyczajnych śmiertelników wygodna, bo pomaga im pod płaszczykiem obrony Kościoła bronić samych siebie, ale czy to metoda naukowa, o tem niechaj wolno będzie zwyczajnym śmiertelnikom wątpić.“

Przyznajemy się, że odpowiedź tę przeczytaliśmy z wielkiem zdumieniem! Więc jakże to? P. Chrzanowski nie rozróżnia Kościoła od duchowieństwa i sądzi, że można Kościół czynić odpowiedzialnym za wszystko, co mówią lub czynią ludzie, należący do kleru? Czy nie pojmuje, że tylko wtedy możnaby zarzucać Kościołowi tamowanie badań naukowych, gdyby Sobory powszechne i Papieże ich zabraniali, gdyby potępiali jako fałsze ich niewątpliwe wyniki? Gdzież na to dowody? Potępienie Galileusza? W tym wypadku zaszła pożałowania godna pomyłka jednej z Kongregacji rzymskich, łatwa zresztą do wytłumaczenia, ale nigdy Kościół nie orzekł dogmatycznie, że słońce obraca się około ziemi[1]). Jeżeli Kościół potępiał różne błędy przeciwne wierze, nie powstrzymywał przez to bynajmniej postępu którejkolwiek umiejętności, bo ani fizyka, ani zoologja, ani historja itd. nie może nawet wkroczyć w dziedzinę dogmatu religijnego, dopóki pozostaje we własnym swoim zakresie.

Pisaliśmy już o tem, zbijając pogląd p. Chrzanowskiego na zasługi Oświecenia, — pisało wielu innych lepiej i dokładniej przed nami, dowodząc, że ani Voltaire, ani Diderot i inni encyklopedyści nie bronili praw umiejętności przeciw Rzymowi, ale raczej dążyli do zniszczenia religji chrześcijańskiej itd; autor jednak ignoruje to wszystko w swojem uprzedzeniu do nauki Kościoła i powtarza znowu to, co powiedział poprzednio na pochwałę Oświecenia: „Do czego dążyło oświecenie? Do wyzwolenia człowieka z tych wielu

[1]) Por. rozpr. „Kościół i kultura“ w Mieś. K. i W. z r. 1913, str. 544 n.

pęt, jakiemi go skrępowała wiekowa historya: z pęt dogmatu — na polu nie tylko religijnem, ale i naukowem, — z pęt despotyzmu — na polu politycznem, z pęt przywileju stanowego i nieodłącznej od niego krzywdy — na polu społecznem... Wielkie, nieśmiertelne są zdobycze oświecenia: wolność sumienia, wolność badań naukowych" itd.; (str. 11 n.) Na to odpowiadamy, że ani jednej nowej zdobyczy naukowej ludzkość nie zawdzięcza pseudofilozofom Oświecenia, tylko wolność rozszerzania wszelkich błędów — nawet z katedr szkół średnich i wyższych, wzrost niedowiarstwa i demoralizacji, spowodowany przez doktryny sceptyczne i materjalistyczne i długi szereg przewrotów i katastrof, - - począwszy od okropności wielkiej rewolucji francuskiej (wszak Robespierre był wielbicielem Rousseau'a i wprowadzał w czyn jego maksymy!)

Także r o z p r a w a o s t a t n i a tego zbiorku musi wywołać bardzo poważne zarzuty ze strony katolickiej. P. Chrzanowski należy do tych — dziś bardzo licznych — myślicieli, którzy uważają r e l i g j ę za sprawę samego tylko u c z u c i a i są przeciwnikami wszelkich dogmatycznych określeń, wszelkiego rozumnego, ścisłego, jasnego formułowania prawd wiary. Dlatego sympatyzuje on z prof. Z d z i e c h o w s k i m i wychwala ogromnie jego książkę np. „Pesymizm, romantyzm, a podstawy chrześcijaństwa", którą poddał surowej, ale zasłużonej krytyce O. Jacek W o r o n i e c k i O. Pr. w naszym Miesięczniku (w roczniku 1916, str. 208 nn. 283 nn. 362 nn. — rozprawa ta wyszła także w osobnej odbitce). Na każdej prawie stronicy książki p. Zdziechowskiego da się stwierdzić rażąca nieznajomość przedmiotu, o którym pisze, nieznajomość nauki Kościoła, Pisma św. i Tradycji. Dzieło jego „nie rachuje się z najelementarniejszemi zasadami metody naukowej i jest typowym objawem tego dyletantyzmu XIX. wieku, przeciw któremu tyle razy w sferach uczonych podnosiły się głosy" (X. Woroniecki l. c. str. 211). Nie zna on np. argumentów, którymi teologowie dowodzą istnienia Boga; sądzi mylnie, że teologja ma pretensję do „matematycznej ścisłości" w swoich wywodach, czerpie swoje wiadomości o nauce katolickiej z pism protestantów i modernistów, — nie zna ogólnie przyjętej nauki teologów o tem, czem jest wiara itd. Całkiem inaczej ocenia tę książkę p. Chrzanowski, — nie roztrząsając poważnie zarzutów X. Woronieckiego, — nie „ł a m i ą c s o b i e g ł o w y"[1]) nad tem,

[1]) Zdziwił nas niemało ten g e r m a n i z m u takiego znawcy jęz. polskiego, jakim jest p. Chrzanowski: jak można „łamać sobie głowę"?

czy Zdziechowski zarażony jest modernizmem, czy nie. Dla niego nie istnieje wogóle kwestja „prawowierności": za „główny cel" i „główną miarę wartości" dzieła religijnego" uważa on „religijne wstrząśnienie duszy, przepojenie jej „miłością ideału chrześcijańskiego" itd. i z tej racji stawia z całej naszej literatury religijnej najwyżej „Ojcze Nasz" Cieszkowskiego, chociaż to dzieło jest pełne pomysłów dziwacznych, nie dających się logicznie uzasadnić, chociaż autor odrzuca dogmat Trójcy św., zaprzecza Bóstwa Chrystusowi, a Jego Kościół skazuje na wymarcie, chociaż główna treść i cała tendencja dzieła nie da się pogodzić z nauką katolicką. Według Cieszkowskiego głosili prawdę także twórcy religji pogańskich i heretyckich, bo „ani wielki Budda, ani mądry Konfucjusz, ani dzielny Mahomet, ani żaden Reformator, który naukę swą w lud zaszczepić zdołał... nie był uwodzicielem, ale pod pewną miarą wysłańcem Pańskim i Pomazańcem Bożym" (Ojcze Nasz" t. III. str. 312). Zdanie to charakteryzuje bardzo dobrze religję uczuciową Cieszkowskiego: nawet w religji Mahometa, w dozwolonem przez niego wielożeństwie, w nauce jego o raju itd. nie widzi on nic niegodnego „wysłańców Pańskich"! Czy i z tem zapatrywaniem solidaryzuje się p. Chrzanowski?[1]) A ileż to innych zboczeń, ile niedorzeczności, ile nieszczęsnych skutków fanatyzmu możnaby przytoczyć z dziejów „uczucia religijnego", nie kierowanego rozumem, nie umiejącego rozróżnić prawdy od fałszu! Takie pojmowanie religji, które w niej widzi sprawę samego tylko uczucia, prowadzi do konsekwencji prawdziwie potwornych.

W tej samej rozprawie ocenia prof. Chrzanowski bardzo ujemnie książkę śp. X. Gabryla, której można wprawdzie niejeden zarzut uczynić (znać w niej wielki pospiech, za dużo cytatów itd.), która jednak nie zasługuje na krytykę tak zjadliwą; — ale o tem już nic nie dodajemy, ponieważ już jeden ze Współpracowników naszych pisał o tej krytyce w „Dyspucie o religii między tomistą i modernistą'" (p. Mies. Kat. i Wych. z r. 1919, str. 178—188).

X. A. P.

Niem. „zerbrechen", znaczy, jak wiadomo, nietylko „łamać", ale także „rozbijać"; przenośnia więc „sich den Kopf zerbrechen", odpowiadająca franc. „se casser la téte" — ma swój sens dobry: myśli męczące sprawiają czasem taki ból głowy, jak gdyby ją kto „rozbijał".

[1]) Por. nasz art. p. n. „Prof., Chrzanowski o Cieszkowskim" w Mies. Kat. i W. z r. 1917, str. 100 nn. i 127 n.

Kurs wakacyjny w Poznaniu.

Dla XX. Katechetów (Prefektów) szkół średnich odbędzie się w Poznaniu, w semin. duch., w czasie od 20/7—10/8 1920. Liczba miejsc stypendyjnych ograniczona jest do 90. Zgłoszenia z Małopolski należy przysyłać pod adresem: X. Dr. T. Długosz, Lwów, Plac Benedyktyński 2. w czasie możliwie najszybszym. Uczestnicy otrzymają prawdopodobnie podróż bezpłatnie a na koszta utrzymania będą prawdopodobnie płacili tylko połowę swej zasadniczej pensji miesięcznej, od której zaczęli służyć; — ze zniżki tej będą mogli korzystać wszyscy XX. Prefekci.

Kurs ma objąć przdmioty, traktowane w wyższem gimnazjum t.j. dogmatykę, etykę i historję Kościoła. Z zakresu zaś duszpasterstwa szkolnego: naukę o charakterze i homiletykę. Wykłady na kursie mają spełnić dwojakie zadanie: 1⁰ odświeżyć lub dać księżom Prefektom odpowiednie wiadomości naukowe; 2⁰ wskazać na sposób, w jaki dane zagadnienia należy traktować z uczniami w szkole. Rozkład godzin przedstawia się następująco: a) dogmatyka 18 godzin (od godz. 10—11), we wszystkie dnie kursu z wyjątkiem niedziel tj. od 20/7 do 9/8 włącznie. Metodyka dogmatyki od godz. 3—4, 26/7 do 29/8 4/8 i od 10—11 dnia 10/8 i 1/8. b) Etyka 17 godzin od godziny 11—12, we wszystkie dnie kursu do 7/8 włącznie. Metodyka etyki 5 godzin tj. od godz. 3—4, w dniach 28/7 i 31/7 i od godz. 11—12 w dniach 9. 10. i 11 sierpnia.

c) Historja Kościoła powszechnego 10 godzin we wszystkie dnie kursu od godz. 9—10 od 20 do 30 lipca włącznie Historja Kościoła w Polsce 10 godzin we wszystkie dnie kursu od godz. 9—10 od 31/7 do 11/8 włącznie. Metodyka historji od godz. 3—4, 27/7 2/8 3/8;

d) Nauka o charakterze 5 godzin od godz. 3—4 w dniach od 20 do 24 lipca włącznie;

e) Homiletyka 5 godz. od godz 3—4 w dniach od 6—11 sierpnia włącznie.

Książki dla ludu i młodzieży.

(Por. Mies. Kat. i W. z r. 1919, str. 111 i 215 i inne spisy książek stosownych dla młodzieży w rocznikach poprzednich.)

Wiseman. Fabiola. Opracował dla młodzieży Piotr Brzozowski, Kraków, bez daty.

X. Jan Badeni T. I. Św. Stanisław Kostka. Wyd. 4-e Kraków 1910.

W. Przyborowski, Szwoleżer Stach. Wyd. nowe. Z ilustracjami. Warszawa 1918.

Florjan. Sierota. Wyd. 3-e Poznań 1903.

Z. F. Stefan Batory. Warszawa 1918 (tylko 31 str.)

C. Niewiadomska. Wnuczka Kazimierza. Warszawa 1908 (tylko 18 stron; — młodzież nie lubi tak krótkich opowiadań).

Ign. Drygas, Wspomnienia chłopka powstańca z 1863 r. Kraków 1913.

I. Grajnert. O Marcinku Kaszubie. Warszawa 1904.

J. Verne. Piętnastoletni kapitan. Wyd. nowe, z ilustracjami, 2 tomy w jednym. Warszawa (bez daty).

Z. Morawska. Na dworze królowej Anny. Warszawa 1912. W powiastce tej niema nic niemoralnego, ale brakuje jej treści głębszej i poważniejszej; należy ona do przeciętnej literatury rozrywkowej.

Bronisława Włodkówna. Stracone szczęście. Warszawa 1913. Jest to powiastka bez wartości a dla młodzieży niestosowna: mąż posądza żonę o cudzołostwo, katuje ją dlatego itd.

Dwie książeczki ostatnie znalazłem w pewnej biblioteczce wiejskiej: zakupiono je na polecenie jednego ze stowarzyszeń katolickich. *X. A. P.*

Od Redakcji.

Ciągły wzrost kosztów druku i papieru nie pozwala nam jeszcze wydawać naszego Miesięcznika w objętości dawniejszej. Zeszyt następny — za sierpień i wrzesień — wyjdzie z początkiem września r. b. — Prosimy o rychłe nadesłanie zaległej przepłaty!